

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 9 września 1945 r.

Nr. 41

WINCENTY BEDNARCZUK

Dwie ważne sprawy

Rozruchy krakowskie były jakby pęknięciem wrzodu, którego wzbieranie czuliśmy od pierwszej chwili powrotu do ojczyzny. Na emigracji, kiedy dochodziły nas pierwsze wieści o straszliwej rzezi, dokonywanej przez Niemców na Żydach, jeszcze nie przekonani czy to nie jest przesada — z trwogą pytaliśmy: a co na to Polacy? Mało mieliśmy wieści z ojczyzny, jeszcze mniej wiedzieliśmy o reakcji ludności polskiej. Znając naturę ludzką, znając szlachetną, choć może płochą, odważną, zdolną do poświęceń naturę naszego narodu — budowaliśmy hipotezy, że straszną tragedią żydostwa polskiego wyleczy Polaków z antysemityzmu. Nie może być — sądziliśmy — widok masakry dzieci i starców musi wzbudzić odruch współczucia, pomocy. Wspólny los pod okupacją musi ich jakoś pogodzić. Nie znaliśmy natury ludzkiej.

Hitlerizm był szatańskim eksperymentem. Niemcy wypróbowali rozciągłość sumienia ludzkiego, wytrzymałość instynktów moralnych, łamiwość charakterów. Okazało się, że nasze pojęcia o człowieku były naiwne.

Kraj nas zaskoczył. Spotkałem w zeszłym roku chłopca, nazwiskiem Słowik, który na południowym Polesiu uratował pięćdziesięciu Żydów, ukrywał ich w lesie i karmił — bezinteresownie. Spotkałem gorliwą katoliczkę, zbliżoną do eńdecji, która uratowała i wychowała dwoje żydowskich niemowląt.

Ale znaleźliśmy w kraju całą warstwę społeczną — nowonarodzone polskie mieszczaństwo — które zajęło miejsce pomordowanych Żydów — często dosłownie — i które, czując może odór krwi na swych palcach — nienawidzi Żydów silniej niż kiedykolwiek. Nie masz większego wroga dla króla niż domniemany spadkobierca jego poprzednika. W nienawiści, którą żywią mieszczaństwo do Żydów, czuje się (jakże nieuzasadniony!) lęk przed odebraniem zagarniętej placówki handlowej, lęk (urojony) przed konkurencją żydowską.

Są to uczucia odpychające, wstrętne. Ale — o dziwo! — to jeszcze nie jest „jądro ciemności” naszego antysemityzmu. Są to resztki tych uczuć, którymi ta warstwa żyła przed wojną. Podczas wojny zjawiały się w pewnych sferach naszego narodu cechy groźniejsze i bardziej wstrętne.

Cechą polskiego antysemityzmu było jego ograniczenie do drobnomieszczaństwa i burżuazji. Ani robotnicy, ani chłopci, ani inteligencja nie byli nań podatni. Miał on w świadomości narodowej wyraźne zabarwienie ujemne. Najwybitniejsi pisarze polscy, poczynając od romantyków, potępiali go pośrednio czy bezpośrednio. Dodatnie typy żydowskie u Mickiewicza, wnikliwa analiza problemu żydowskiego u Prusa w „Lalce”, nader charakterystyczny opis pogromu żydowskiego w „Spod ciemnej gwiazdy” Dygasińskiego — te pierwsze z brzegu przykłady świadczą o stosunku naszych największych i najlepszych do tej sprawy.

Ale nawet u tych, którzy głosili i wyznawali antysemityzm — nie sięgał on zbyt głęboko i nie miał form gwałtownych. Pogromy, zdarczające się tu i ówdzie przed pierwszą wojną, były wzorowane na klasycznym kraju pogromów ówczesnych — Ukrainie, na Odessie, Bercydowie, Kiszyniowie. W Polsce zdarzały się one we wschodnich regionach jej obszaru etnograficznego — np. w Białymstoku.

Przynajmniej tego leżała zapewne częściowo w fakcie okupacji rosyjskiej, która skupiała na sobie zbyt wiele nienawiści narodowej, by jej starczyło na Żydów. Charakterystyczne, że najbardziej antysemicka partia ówczesna — eńdecja — była też najbardziej ugodowa wobec caratu.

Częściowo zaś zapewne odegrała rolę pewna techa naszego charakteru narodowego. Nie skłonność do „sielanki”, nie „marzycielstwo” — te legendarne cechy rzekomo polskie pora już wyrzucić na śmietnik. Ładna mi sielanka — ta historia Polski, czdwiercielona choćby w Warszawie, od rzezi Pragi aż do sierpnioowego powstania.

My, Polacy, wbrew pozorom, jesteśmy realistami. Niestety, nie jest to realizm zbyt głęboki i zasadniczy, nie dociera on do kategorii filozoficznego stosunku do świata, ogarnia raczej sferę doczesnego i doraźnego bytu. Nie lubimy rzeczy niejasnych i zbyt skomplikowanych: nazywamy je po prostu bujają. Nie ma w nas tej skłonności do rozważań przynajmniej, która cechowała przedwojennych

Rosjan. Nie ma (a może nie było?) skłonności do mistycyzmu i kultu rzeczy niepojętych, która tkwi w Niemczech, każąc im w najbardziej płaskich oświadczeniach Hitlera doszukiwać się jakichś zaziemskich wypukłości. I dlatego te warstwy, które wyznawały przed pierwszą wojną światową antysemityzm, ograniczały się do walki ekonomicznej, czyniąc z niechęci do Żydów ideologię tylko o tyle, o ile pomagała to im w doraźnych potyczkach sklepikarskich.

Inaczej Niemcy. W kraju, gdzie Żydzi nie stanowili jednego procentu ludności, gdzie byli w trakcie zupełnej asymilacji, gdzie upodobniali się do Niemców w dobrych i złych cechach niemieckich, antysemityzm kwitł długo przed wojną, ba, od razu wznosił się na wyżyny ideologii i filozofii. Hitler tylko rozdmuchiwał — długo zresztą i mozolnie — zarodek epidemii antysemityzmu, tylko spularyzował i zwulgaryzował hasła, głoszone już dawno przez zasuszonych niemieckich profesorów. Tam, gdzie u nas był stragan i sklepik, u Niemców zjawia się „krew”, „rasa” itd.

Nie zauważyliśmy przed kilkudziesięciu laty tragedii, która rozegrała się pod podłogami i na strychach naszych domów. Rasę polską — a raczej w ogóle europejskich szczerów wyparła i wytepiła większa, bardziej ruchliwa i złośliwa rasa szczerów norweskich. Walka ta trwała długo — dziś jest już rozstrzygnięta, może tylko w nielicznych zakątkach świata istnieje jeszcze dawny szczur europejski.

W okresie międzywojennym polski antysemityzm zaczął być wypierany przez nienawiść. W miarę dochodzenia do władzy Hitlera proces ten zaczął się przyspieszać. Ta walka między dwiema rasami szczerów ideologicznych obfitowała w momenty tragiczne. Łatwo jej można obserwować w dziejach naszej eńdecji. Walka „młodych” ze „starymi”, secesje poszczególnych „starych”, powstawanie różnego autoramentu ONRów — to wszystko m. in. oznaczało także ferment na tle stosunku do Żydów. Oczywiście chodziło przede wszystkim o stosunek do czystego faszystwu, o zwrot 180-stopniowy w orientacji zagranicznej itd. Ale i sprawa: bojkot gospodarczy czy bicie i mordowanie grała swoją rolę.

Wrzesień sprawę tę rozstrzygnął na korzyść szczerów niemieckich. I może najsilniej zmianę tę się odczuwa po powrocie do kraju z emigracji.

Antysemityzm, który panuje w umysłach polskiego mieszczaństwa — nie wywodzi się z Polski. Wystarczy przeczytać listy, które kółtun nadsyła do redakcji w odpowiedzi na zwalczanie antysemityzmu. Czytujemy je jednocześnie z rocznikami „Gońca Krakowskiego”. To są owoce jednego drzewa, ten sam styl, ta sama argumentacja, ten sam patos. Jest już i „krew” i „rasa”. Niemcy mądrze obliczyli zasięg nikczemności w duszach ludzkich i z całą świadomością zrobili na nią stawkę.

Obliczyli nawet poprawkę na polską odrębność. Jeśli nagonka antyżydowska w Niemczech opierała się na najostatniejszym fundamencie: „międzynarodowej plutokracji żydowskiej”, który miał w jakiejś mierze paraliżować instynkt klasowy niemieckiego robotnika, to w Polsce ostatecznym argumentem była religia i krzywdy, jakie poniósł od Żydów Chrystus.

Ten argument był dla Polaków najsilniejszy, bo trafiał w tę skąpa u nas potrzeba metafizyki, którą całkowicie zaspokaja Kościół. I ten argument jest najsilniej lansowany obecnie — częstokroć z ambon, ostatnio np. w Częstochowie.

Oczywiście, są jeszcze, jak wspominałem, lęki ekonomiczne, zasadniczo urojone, choć czasem znajdujące żer, gdy zjawia się jakiś rozbiitek żydowski ze zbyt niepojętym poczuciem krzywdy. Zeru takiego przysparza również np. widok Rynku krakowskiego, gdzie egzystuje obecnie coś w rodzaju „ghetta” kilkudziesięciu Żydów-spekulantów — jakże małej garstki wobec kilkuset spekulantów-Polaków, Rosjan i innych Słowian, urzędujących obok, na tymże Rynku. Ale nie to jest istotne. Żydy nigdy, już u nas nie powrócą do tej roli ekonomicznej, którą pełnili przed wojną. Nie odrodzi się masowo ani robotnik żydowski, ani rzemieślnik, ani nawet drobny czy duży handlarz. I te lęki konkurencyjne odpadną.

Zostanie gorszy, bardziej zjadliwy szczur

niemiecki. Będzie rył korytarze w mózgach, nieprzewietrzonych po sześciu latach, będzie skrobał w sercach stwardniałych, będzie się przemykał poprzez nad miarę elastyczne sumienia. A nasz polski „realizm” utrudni nam dostrzeżenie dziwnej i groźnej dysproporcji moralnej między dekalogowym „nie zabijaj” a jakże pospolitym dzisiaj: „dobrze, że to Hitler zrobił za nas”.

Antysemityzm przestał już być zagadnieniem ekonomicznym, przestaje być sprawą polityczną (choć się starają szczerzy wygrać go w tym sensie), coraz wyraźniej staje się problemem czysto moralnym. To nie jest dziś sprawa obrony Żydów przed nędzą i śmiercią, to jest sprawa obrony Polaków przed nędzą moralną i śmiercią duchową.

I tutaj wkraczamy do zagadnienia drugiego. Mamy organizację, której głównym zadaniem jest troska o dusze ludzkie. Organizacja ta posiada, szczególnie u nas w Polsce, szczególnie w sferach mieszczańskich, oibryzmi autorytet. Posiada także rozmaite sposoby trafiania do swoich wyznawców.

Ale Kościół nie traktuje tej sprawy zbyt poważnie. W tej chwili zajmują go inne troski. Zmora ślubów cywilnych, zdawałoby się, przed blisko piętnastu laty pogrzebanych ostatecznie, znowu nawiedza sny dostojników kościelnych. I sprawa grzechu pochwalania zbrodni nie może znaleźć, rzecz prosta, szerokiego omówienia i potępienia.

Kościół — to wielka rzecz, to wspaniała organizacja, ogarniająca setki tysięcy ludzi karnych i zdyscyplinowanych, ale — jak to ludzie — mądrych i głupich, dobrych i złych, odważnych i tchórzliwych. Znalazło się kilku księży, którzy podkreślili ten oczywisty fakt, że pochwalanie zbrodni jest grzechem i że szerzenie nienawiści rasowych jest sprzeczne z duchem katolicyzmu. Najpoważniejszy organ kościelny w dzisiejszej Polsce — „Tygodnik Powszechny” — stwierdził ten fakt także.

Ale jakże skromne miejsce w tym piśmie znalazła ta sprawa, tak paląca, tak aktualna! Jak zdawkowe były użyte tam argumenty! Jakiego wysiłku musiał dokonać redaktor piśmie, aby wyszukać cytata z listu pasterskiego najwyższego dostojnika kościelnego Krakowa, wydanego właśnie w czasie rozruchów, aby podeprzeć wypowiedź redakcyjną autorytetem księcia Kościoła!

Nie jest to bynajmniej szantaż. Nie możemy i nie zamierzamy zmuszać prasy kościelnej do drukowania różnych rezolucji, potępiających krakowskie rozruchy. W pełni doceniamy przyczynę takiej wstrzeźliwości. I nawet sami przechodzimy na płaszczyznę, tak bardzo absorbującą „Tygodnik Powszechny”.

Sprawa ślubów cywilnych, dla mnie osobiste, nie nastęrcza tematu do dyskusji. Sprawa jest prosta: należy co rychlej takie śluby wprowadzić. Wszelkie argumenty, wyciągane przez stronę przeciwną, obala prosty wzgląd: śluby cywilne istnieją na całym świecie chrześcijańskim, z wyjątkiem Bułgarii i Serbii — dwóch krajów prawosławnych, oraz dwóch dzielnic Polski. Może Franco zniósł je w Hiszpanii? Jeśli tak — no, cóż, to piękny patron! Względ na upadek moralności jest śmieszny, bo najbardziej wierząca i „moralna” jest u nas ta właśnie dzielnica — Poznańskie — gdzie śluby cywilne od dawna istnieją.

Natomiast wydaje mi się, że w dyskusji o tych ślubach nie poruszono bardzo istotnego zagadnienia. Śluby cywilne należy wprowadzić nie tylko ze względu na ludzi, którzy je będą zawierać, ale również w interesie Kościoła w Polsce.

Kościół jest instytucją istniejącą w społeczeństwie ludzkim i ulegającą zmianom razem z tym społeczeństwem. Kościół za czasów rzymskich, kościół średniowiecza, kościół inkwizycji i kościół Leona XIII-go — to są formy tak różne, że laik mógłby mówić o różnych Kościołach. Ta właśnie zdolność ulegania zmianom przy zachowaniu najistotniejszych dogmatów — stanowi siłę Kościoła katolickiego.

Co więcej, Kościół jest zróżniczkowany także w rozmaitych państwach, jest dostosowany do indywidualności poszczególnych narodów i ustrojów, choć w tym wypadku różnice nie są duże. Różne są poziomy kleru. I trzeba przyznać, że choć posiadamy wielu świątliwych i wybitnych kapłanów, poziom kleru w Polsce jest jednym z najniższych w Europie. Daleko mu

już nie tylko do kleru we Francji czy Anglii, ale bodaj czy nie w takiej Austrii.

„Tygodnik Powszechny” jest piśmie poważnym, przeznaczonym dla inteligentów. To nie jakiś tam „Rycerz Niepokalanej”, wydawany dla maluczkich. Otóż w tym poważnym piśmie ukazuje się artykuł na czołowym miejscu, omawiający strukturę społeczeństwa. Zasluguje on na uwagę z dwóch względów.

Po pierwsze: poziom. Autor wyraźnie lekceważy sobie czytelników, wprawiając w nich, że cechy średniowieczne — to były związki zawodowe! Cechy, w których głos decydujący mieli majstrowie — więc na owe czasy pracodawcy — zestawia najspokojniej w świecie ze związkami zawodowymi, zrzeszającymi tych właśnie, którzy wynajmowali swoją pracę. Ma to służyć przesłanką wniosku, że Wielka Rewolucja Francuska występowała przeciwko związkom zawodowym. Ta niechęć do Rewolucji Francuskiej jest znamieną, autor ma w niej wybitnych sprzymierzeńców z Hitlerem na czele. Ale to nawiasem.

Dlaczego „Tygodnik Powszechny” publikuje takie artykuły? Bo ma obsesję ślubów cywilnych, jest zakatarzony tymi ślubami i utracił dobry smak i węch. Ta obsesja nie pozwala mu na zajmowanie się ważniejszymi sprawami, co gorsza, wydatnie obniża poziom pisma. W stanie afektu, jak wiadomo, trudno się zdobyć na myślenie.

Po drugie: autor artykułu zręczną wolą przedstawia, że sytuacja „świata pracy” radykalnie się zmieniła na lepsze w końcu ubiegłego wieku na skutek bull i encyklik papieskich. W pełni doceniając działalność Leona XIII na tym polu nie sposób nie stwierdzić, że Kościół ingerował w tych sprawach z dość znacznym, jak na nasze czasy, opóźnieniem — bo już po kilku rewolucjach, po komunie paryskiej, po angielskich trade-unionsach, w czasie kolosalnego rozkwitu i pierwszych zdobyczy socjalnych niemieckich związków zawodowych i socjal-demokracji, po I Międzynarodowce i w okresie największego wzrostu II-giej. Ta kolejność wydarzeń nie tylko ważna jest dla postawienia zasługi Kościoła na należytych miejscach, ale także dla wyciągnięcia istotnego wniosku.

Jeśli uznamy Kościół Leona XIII za lepszy od Kościoła inkwizycji (a sądzę, że większość katolików to uzna) — to musimy stwierdzić, że istotnym warunkiem postępu i doskonalenia się Kościoła jest odpowiedni na niego nacisk. Najsilniejszy, najwyższy moralnie kler katolicki w Europie dzisiaj — to kler francuski. Przeprowadzony tam od półwiecza przeszło rozdział Kościoła od państwa wyszedł na dobre obu stronom. Kościół zmuszony był szukać lepszych argumentów, by trafić do dusz ludzkich. Kościół pozbył się szeregu nieistotnych, jak się okazało, obowiązków administracyjnych i znalazł więcej czasu na sprawy ściśle duchowe. Wreszcie, wyzwolony z opieki państwa, pozbył się karierowiczów, tego śmiecia ludzkiego, które wszędzie i zawsze pływa z prądem, pozbył się odoru oficjalności i urzędowości, która odpycha jednostki wybitne i niezależne. Francuski „Tygodnik Powszechny” nie jest narażony na obsesję ślubów cywilnych.

W interesie narodu i państwa leży, aby Kościół katolicki, tak ważną u nas rolę odgrywający, był na poziomie najwyższym. Lepiej spełni swoją rolę w Polsce dzisiejszej kler światły, wyzwolony z przyziemności, widzący istotne dla Polski zagadnienia. Leży to nie tylko w interesie zwolenników kleru, ale i jego przeciwników: bo lepiej jest zawsze mieć do czynienia z przeciwnikiem mądrym.

Wprowadzenie ślubów cywilnych nie obniży, ale podwyższy autorytet Kościoła, bo pozabawi jego wrogów argumentu interesowności kleru: lęku o dosyć wysokie dzisiaj opłaty kościelne za śluby. Zmusi wreszcie kler i prasę klerikalną do poważniejszego stosunku do czytelników, oszczędzi nam rozważań w stylu omawianego artykułu.

My kochamy swój naród. Ocielilibyśmy widzieć, że we wszystkich dziedzinach idzie naprzód, a nie zostaje z tyłu. Zazdrościmy Francji, nie tylko jej politycznej aktywności, nie tylko potęgę jej demokratycznych stronnictw z robotniczymi na czele, ale i jej kleru i jej prasy katolickiej i udziału jej sfer katolickich w ogólnonarodowym ruchu oporu. Czynimy więc to, co sprawiło we Francji tak głęboką regenerację katolicyzmu.

WYKONANIE W. NELSZTYŃSKI

Tragiczne dzieje Każka ze Szczecina

Przed wszystkim sprawa zasadnicza: czy książęta Pomorza Zachodniego należeli istotnie do rodziny Piastów polańskich, czy też do mitycznego rodu Gryfów, czego uparczywie trzymali się historycy niemieccy, nie chcąc dopuścić do uznania słowiańskości władców tej krainy? Gryfia, Gryfów, Gryfin, dynastia z rodu Gryfitów powtarza się uporczywie w ich rozprawach, gdy nauka polska nie ogranicza się do tego powierzchownego określenia, uznaje w pełni godło władców pomorskich w postaci świętego pół-lwa, pół-orła, ale nie zamyka oczu na przekazy historyczne, z których wynika, że protoplastą władców Pomorza Zachodniego był Świętopełk, syn Mieszka I i Ody, córki margrabiego Marchii północnej, Teodoryka. Oda, poślubiła po śmierci Dąbrowki przez Mieszka, urodziła mu trzech synów, między nimi Świętopełka. Tegoż synem jest Thiedricus — Dytryk — Teodoryk, który w roku 1032 dostał w podziale, narzuconym Mieszku II przez cesarza Konrada, część terytorium państwa polskiego, Pomorze Zachodnie.

Dopóki władcy polscy dążyli do całkowitego wcielenia Pomorza Zachodniego do swoich ziem, zwalczali radykalnie potomków Mieszka i Ody. Toteż Mieszko II, który tylko na żądanie cesarza Konrada i na dopuszczenie go do władania na Pomorzu, gdy tylko poczuł się na siłach, zaraz ziemię jego zagarnął. Kazimierz Odnowiciel, Bolesław Szczodry, również nieprzychylni byli krewnikom, siedzącym na Pomorzu — czuli konieczność państwową, by nad ujściem Odry panować bezpośrednio.

Z chwilą przeniesienia stolicy do Krakowa, od koronacji Szczodrego w roku 1076 nie w Gnieźnie, lecz na Wawelu, zainteresowanie Piastów Pomorzem doznało pewnego osłabienia na rzecz Wschodu. Odtąd zadawała się koncepcją nawrócenia Pomorza Zachodniego na chrześcijaństwo i sokołowania jego książąt, bez ścisłej inkorporacji terenu w organizm państwa własnego.

Te politykę reprezentuje przede wszystkim Bolesław Krzywousty. Z książętami pomorskimi, o których Gall Anonim co raz wspomina, że byli krewnymi, spowinowaceni książęta polskiego, obchodził się Krzywousty życzliwie, po ludzku, zostawiając ich przy władzy, a pozwalając na zgładzenie ich tylko wtedy, gdy byli po zyciestwie wyraźnie oporni i szkodliwi. Wacław I, dalszy potomek Świętopełka i Ody Mieszkuwny, zostaje przy swym władztwie szczecińskim nawet po roku 1120, kiedy został pobity na głowę i zdany na łaskę i niełaskę możnego kuzyna. W roku 1135 Krzywousty popadł w trudności i musiał złożyć z kolei sam hold cesarzowi Lotarowi, ale tylko z Pomorza Zachodniego i Rugii, którą zamierzał podbić.

Gdyby nie było podziału Polski na dzielnice, stan władania podobnego mógłby się utrzymać na długą metę i Pomorze byłoby w stosunku lennym do Polski, zachowałoby swoją słowiańskością na zawsze, z chwilą wygaśnięcia linii Piastów pomorskich przypadłoby automatycznie Polsce.

Choć rozwój wypadków potoczył się inaczej, chociaż od roku 1181, od chwili złożenia holdu Fryderykowi Rudobrodemu w Lubec przez Bogusława I, księcia na Szczecinie, Pomorze Zachodnie dostało się w orbitę wpływów Rzeszy, to jednak stosunek tej zależności był bardzo luźny i niestały. Już w cztery lata później zdobyli na Pomorzu przewagę Duńczycy i mieli ją do roku 1225, kiedy Waldemar II został przez Niemców wzięty do niewoli i zmuszony do zrzeczenia się władzy na Pomorzu. Nie zostało ono wówczas bezpośrednio do Rzeszy, lecz pośrednio jako lenno Marchii brandenburskiej.

Piastom Pomorza Zachodniego ten rodzaj lenna ogromnie się nie podobał. Jeżeli mieli holdować, to woleliby czynić to wprost cesarzowi, który siedział daleko, był bezradny i bezsilny, lecz teoretycznie przedstawiał większą powagę niż zuchwali, uciążliwi, niebezpieczni Askańczycy czy później Hohenzollernowie. Przez kilkanaście lat dążyli Piastowie Pomorza Zachodniego do zrzucenia z siebie narzuconego im zwierzchnictwa Brandenburskiej. Spojrzenia ich kierowały się często ku bliższemu etnicznie i terytorialnie suwerenowi, ku królom polskiemu.

Na tym tle zanotować można sporo poczynań, których źródłem była zarówno idea polityczna jak i słowiańska krew płynąca w żyłach Piastów szczecińskich, wologoskich, słupskich i innych, gdyż zębny zwyczaj dzielenia ziem między męskich potomków rodziny przetrwał tu do chwili wygaśnięcia dynastii w 1637.

Te związki dynastyczne między Szczecinem i Krakowem były szczególnie bliskie i częste, póki w Polsce panowali Piastowie, ale nie ustały też, gdy Jagiellonowie wstąpili na tron. Wcześnie między Marchią brandenburską i Krzyżaków od roku 1230. Piastowie zachodnio-pomorscy, ledwie się otrząsnawszy z władzy Duńczyków uczuli zagrożające im niebezpieczeństwo ze strony Niemców i pragnęli

uwolnienia ich od zmyru niemieckiej przez zwycięstwo Polaków nad Niemcami.

Do Jagiellów zwracali tęskne oczy z chwilą, gdy tylko objął władzę w Polsce. Przy zbliżającej się walnej rozprawie stanęli w większości, zwłaszcza zaś Bogusław VIII, książę słupski, za Jagiellą i chociaż Krzyżacy sypali na lewo i prawo pieniądze, nie dali się odebrać od boku słowiańskiego króla. Przeszkadzali rycerzom niemieckim, idącym na pomoc Krzyżakom przed bitwą grunwaldzką, brali do niewoli całe orszaki rycerzy z zachodu, którzy szli przez Pomorze Zachodnie, napadali na grody krzyżackie, w tysiąc i jeden sposób dokuczali nadgranicznym komturom.

Za Jagiellończyka, gdy szła 13-letnia wojna, również zew krwi rzucił ich na stronę królów polskich. Imponował im Kazimierz Jagiellończyk. W wielkiej przyjaźni zostawała z nim Zofia, żona Eryka II, będącego w przymierzu z królem, od którego po zwycięskiej wojnie 13-letniej otrzymał w lenno Łębork i Bytów. Dla zadokumentowania przyjaźni powstał Eryk II swego 12-letniego syna Bogusława X, późniejszego jedynowładcę Pomorza Zachodniego, na dwór Kazimierza Jagiellończyka, gdzie młody pomorzaniec zażywał szczególnej opieki i uczył się z synami króla pod kierunkiem Jana Długosza. Kupcy pomorscy w Polsce, polscy na Pomorzu Zachodnim zażywali szczególnych przywilejów w przeciwieństwie do brandenburskich, którzy byli hamowani, zatrzymywani i aresztowani wraz z towarami zarówno na Pomorzu Zachodnim jak i w Polsce. Liczne małżeństwa przypieczętowały tę współpracę, szczególnie zaś ślub tegoż wychowanka polskiego, Bolesława X Wielkiego (1474—1523), z Anną, córką Kazimierza Jagiellończyka, matką 3 synów i 2 córek, mających odegrać wybitną rolę w dziejach książąt zachodnio-pomorskich, a będących i Piastowiczami i Jagiellonidami w jednej osobie.

Przyjaciół Polski zatem w szeregu Piastów szczecińskich nie brakło. Polska odnosiła się życzliwie do tej gałęzi piastowskiej, uważała ją za swoją, pokrewną, a była nawet chwila, że o mało co nie przyszło do tego, że powołaliby właśnie tych Piastów znad morza do sprawowania władzy królewskiej u siebie. Fakt, że tak się nie stało, należy do najtragiczniejszych wydarzeń dziejowych i wywołał bardzo doniosłe konsekwencje.

Dwa razy w ciągu wieków zdarzyły się chwile, kiedy dla Piastów Pomorza Zachodniego otwierały się możliwości odegrania decydującej roli w dziejach Europy. Raz w wieku XV, kiedy książę Słupski, Eryk I, powołany został na tron trzech połączonych królestw, Danii, Norwegii i Szwecji i panował tu od 1412—1438. Przez nieudolność, upór, walkę z miastami swych królestw stracił tron i skończył żywot jako książę Słupski w Derłowie w 1459 r., rozkoszując się olbrzymimi skarbnami, które z podległych krajów wywoził. Do zadania monarchy w wielkim stylu absolutnie nie dorósł.

Wcześniej wielka szansa ugruntowania swej władzy na szerokim terytorium zdarzyła się w roku 1370 stryjowi wspomnianego Eryka I, księciu Kazimierzowi V, panu na tymże Słupsku i Szczecinie, popularnie w Polsce za życia Każkiem szczecińskim zwanemu. Był on synem Bogusława V i Elżbiety, córki Kazimierza Wielkiego. Wobec braku męskich potomków króla z prawego łóża czy społeczeństwa polskiego zwracały się od początku ku temu wnuczkowi króla, którego otoczono czułą opieką, ale niefortunną opieką. Przebywał często w Krakowie na dworze dziadka, to znów w Pradze u cesarza Karola IV luksem-

burskiego, który pojął jego przyrodnią siostrę Elżbietę za żonę w Krakowie w roku 1363, z której to okazji święcono w Krakowie wielkie gody, upamiętnione w polskiej tradycji uczcią Wierzyńka i obecnością cesarza, czterech królów: polskiego, węgierskiego, duńskiego, cypryjskiego i mnóstwa książąt.

Matka Każka, córka króla Kazimierza i Aldony litewskiej, była partią posażną, o której rękę ubiegał się pierwotnie książę bawarski Ludwik, następnie brat jego Jan, za którego wyszła za mąż. Gdy owdowiła, przeznaczona została Bogusławowi V słupskiemu. Zmarła już w roku 1361. Toteż sierota Każko był zdany na opiekę dziadka i szwagra, zabiegającego o dziedzictwo po królu polskim. Atutem jego było, że przyrzekał własnym kosztem zdobyć na Krzyżakach Pomorze. To samo przyrzekał zresztą również Ludwik węgierski, u którego Każko nieraz przebywał.

Król Kazimierz w ostatniej chwili życia, u mierając dość niespodziewanie z rany odniesionej przez karygodną lekkomyślność podczas przygody łosnej w Przedborzu, powziął samorzutnie, bez udziału rady królewskiej zdecydowaną myśl uchylecia wszelkich dotychczasowych traktatów o dziedzictwie i dnia 3 listopada 1370 r. wąpiając o odzyskaniu zdrowia, rano o wschodzie słońca napisał testament, który miał zmienić kierunek dziejów i złączyć Pomorze Zachodnie z macierzą. Jakby zapominając układu z Ludwikiem, który miał objąć całość królestwa, Kazimierz w tej krytycznej, pełnej odpowiedzialności chwili, gdy wschodzili zorze 3 listopada, skupił uwagę swoją na Każku i zapisał mu księstwo dobrzyńskie, kujawskie, sieradzkie i łęczyckie z zamkami Kruszwica, Bydgoszcza, Złotem i Wałczem.

Dnia 5 listopada o wschodzie słońca ostatni Piast rozstał się ze światem.

Gdy otwarto testament, powstała konsternacja. Wszystko było w porządku, tylko zapis dla Każka przekreślał plany Ludwika i jego stronnictwa, wielmożów Małopolski.

Janko z Czarnkowa, podkanclerzy zmarłego króla, przeciwnik Ludwika węgierskiego, kreślił z oburzeniem grę zakulisową, wszczętą przez Ludwika zaraz po ujawnieniu zapisu. Bał się zmienić klauzule testamentu. Próbował zrzucić odpowiedzialność na episkopat i szlachtę, która na wieść o śmierci króla zjawia się licznie w Krakowie. Mówi o tym Janko:

— Kiedyśm do arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupa krakowskiego z przywilejami tymi przybyli, oni wszystko potwierdzili i rozdać kazali, wyjąwszy przywileje Kazimierzowi, wnukowi zmarłego króla Kazimierza, na księstwo sieradzkie, na zamki i ziemie łęczycką i dobrzyńską, Kruszwicę, Bydgoszcz, Złotów i Wałcz.

Król Ludwik chce zmiany przywileju. Żąda pisma z pieczęciami. Arcybiskup i inni, szlachta, są stropieni. W rezultacie: wszystkie nadania zostają utrzymane, zaś księciu Kazimierzowi odebrane ziemie sieradzka i łęczycka, natomiast księstwo dobrzyńskie tudzież miasta i zamki Złotów i Wałcz we władanie oddane.

— Albowiem niektórzy magnaci i niby pierwsi w radzie zmarłego króla, wielce sprzyjający stronnictwu węgierskiemu, sądzili, że książę Kazimierz z ziemi sieradzkiej, łęczyckiej i dobrzyńskiej i z zamków wyżej wymienionych, przy pomocy szwagra swego, cesarza rzymskiego, może przyjść do rządów królestwa polskiego, i ojca swego, Bogusława, księcia szczecińskiego.

Wolno sobie wyobrazić minę Każka, gdy postępował za trumną wielkiego dziadka, gdy

asystował koronacji wuja, dokonanej pośpiesznie w Krakowie. Znając jego usposobienie traktujące rzeczy doczesne bardzo lekkim sercem, można przypuścić, że przeżył rozczarowanie łatwiej niż panowie małopolscy, którzy wnet doznali macoszego traktowania przez Ludwika, a raczej nie oni, lecz Polska: Ludwik z trudem tylko dał się namówić do wyjazdu do Wielkopolski, koronacji w Gnieźnie nie powtórzył, jak tego żądało społeczeństwo. Otoczenie jego, złożone z zachłannych Węgrów, rabowało kraj zupełnie jak po zwycięskiej wojnie, łupiąc domy, zamki i kościoły. Zostawiając regencję, Ludwik powrócił do ukochanych Węgier, nie troszcząc się zupełnie o Polskę.

Każko stracił królestwo. Polska nie wyżyła możliwości wcielenia Pomorza Zachodniego przez unię personalną ze Szczecinem. Niefortunny wnuk wielkiego króla, wstąpiwszy w roku 1374 na tron szczeciński i słupski, stracił wnet i życie w małej, podjazdowej walce z księciem gniewkowskim, Władysławem Białym. Nie prowadził jej na własną rękę, lecz przyłączył się do akcji starostów królewskich, Sędziwoja z Szubina, Bartosza z Wyszeborga i Bartosza z Sokolowa.

Było to w roku 1376. Awanturczyki książę gniewkowski, kolejno mnich w Dijon, pielgrzym, intrygant, wojownik i pretendent do tronu, zjawiwszy się na Kujawach, opanował zamki w Szarleju i Złotyry nad Wisłą. Tam go oblegano. Rycerze z Pomorza Zachodniego, zawsze skorzy do walki, gdy szło o zdobyc, bo na Pomorzu Borkowie, Wedlowie, Putkammerowie i inni, tak samo jak ich mali książęta, męcza prawie do pochwy nie chowali, zjawili się też tłumnie. Walka była nieszcześliwa. Biały bronił się podstępnie i energicznie. Fryderyk Wedel w zasadce został przynięciony ciężarem bramy. Każko, uderzony kamieniem w czasie szturmowania został wyniesiony z placu boju w ciężkim stanie. Zawieszony do Bydgoszczy zmarł tam po kilku miesiącach. Z żalem donosi o tym Janko z Czarnkowa:

— Roku pańskiego 1377, dnia drugiego miesiąca stycznia prześwieitny książę Kazimierz, zwany Każko, książę dobrzyński, bydgoski, pomorski, kaszubski i pan na Szczecinie, syn Bogusława, księcia szczecińskiego i kaszubskiego, urodzony z Elżbiety, córki króla polskiego Kazimierza, zakończył życie w zamku swoim w Bydgoszczy, nie pozostawiając z córki Ziemowita żadnego potomka. Po jego śmierci księstwo dobrzyńskie, jako też zamki Bydgoszcz i Wałcz zostały przyłączone do korony królestwa polskiego. Ciało jego spoczywa w Byszewskim klasztorze zakonu Cystersów.

— Ten książę Kazimierz był tak hojny, że porozdawał nieopatrznie swym sługom i innym ludziom wszystkie swoje wsie stołowe, a sam prawie nie miał z czego opędać wydatków na swe księstwo utrzymanie, póki po śmierci ojca, księcia Bogusława, ziem jego nie odziedziczył. Przyrodnią siostrą jego, Elżbietą, cesarzowa rzymska i królowa czeska, niejednokrotnie zaspokajała jego potrzeby, przesyłając mu wielką ilość upominków w srebrnych naczyńkach i gotowizny; książę wszakże niedługo te podarunki u siebie zachował, i nie zważając na zakaz siostry, rychło je trwonil, hojnie wszystkim rozdając.

— Miał on za żonę córkę Kiejstuta, księcia litewskiego, potem, po jej śmierci Salomee, córkę Ziemowita, księcia mazowieckiego. Od dzieciństwa wychowywał go dziad jego, Kazimierz, król polski; przebywał również kilka lat na dworach Karola, cesarza rzymskiego, swego szwagra, i Ludwika, króla węgierskiego, swego wuja. Był ciałem wątłego, a chociaż gwałtowny i niestały, mimo to pełen życia, łatwo dający się do działania porywać.

— Księstwo dobrzyńskie było zastawione za 8.000 grzywien wdowie po księciu Każku, która nie chciała z niego wcześniej ustąpić, aż wyjdzie za mąż; dopóki te 8.000 grzywien nie zostaną jej wypłacone.

Wyszła za mąż za Henryka, księcia Brzegu. Miała dobre serce. Kochała dzieci. Nocną porą, potajemnie kazała pórwać chłopca, owoc zakazanej miłości swej macochy, Ludmiły, żony Ziemowita mazowieckiego. Tyran ten kazał żonę uwięzić aż porodzi dziecko, później matkę udusił, kochanka koźmi włościł i powiesił, dziecko oddał mamce na wieś. Żona Każka wychowała sierotę w dostatku i kazała go, maleńkiego Henryka, kształcić, później wysłuchiła na kapłana. Henryk później, jako proboszcz płocki, zakochawszy się w pięknej Ryngalle, porzucił sukienkę duchowną. Temat do powieści. W ogóle Janko z Czarnkowa musi jak i Gall. Anonim znaleźć się obecnie w ręku czytającej polskiej publiczności. Publicyści i literaci znajdują u niego wątki godne przypomnienia.

Dokoła Każka ze Szczecina jakąż można osnuć powieść! Jakież tam silne światło padnie na Pomorze, Pomorze Zachodnie, Słupsk i Szczecin! Jakież malowidło barwne, aktualne, zespalające nas z Piastami, z wybrzeżem z Pomorzem, Północą, Europą!

ROMAN BRATNY

14 lipca w Paryżu

Kamień głuchy podobno, lecz mu grają oni,
którym nula się wściekla i drży.
Nie wychylaj ręki za kieliszek, nie podnoś
tego drugiego z wodą, w który się rozdwójł
ten pierwszy pelen wypitych win.

W tamtym jest tylko prosta woda z Wisły —
O, jak jej brzegi kować, aby była prosta!
To nie oni mówią. Oni łańczą. Z nula przyszli
w biodrach.

To nie oni. To Paryż mówi o światel i nocy wybuchach.
Wisłę uregulować. Kamień będzie stuchał.
Radość. Ojczyzna. Całują w usta,
te drugie usta, nie szfandary.
O, gdyby mnie Bóg nauczył tańczyć
w powietrzu wolnym od sztandarów i pusłym.

Nie wyciągaj ręki dalej — ten drugi,
ten jasny kieliszek to twoja fantazja:
— tam woda Wisły smukłej,
wilgotne usta czerwone 1-go i 3-go maja!

Słuchaj! Krząć wystrzały gęste, prawdziwe!
— popatr, prawdziwy kieliszek znikł —
Ach, znowu jestem nad Wisłą
i uczyć się czytać z krwi.

Kamień. Mówią. A muzyka się nie da uspokoić.
To nie naloł. To oni.
To naloł dla zabawy. Aby było wesoło.
To obce święto narodowe.

Paryż, 14 lipca 1945

MARIA KRZETUSKA

Czytałem wiersz

Zrazu
cisza była i słowa...
jedno za drugim w pogoni!

Aż nagłym wstrząśnięta gromem,
co w poprzek nieboskłonu
opadł złotym liściem,
w porwie nieutulonym
uporczywie myślę,
że wszyscyście
ze mną razem,
a dojrzały owoc
spadł w drżące oczekiwaniem dłonie.

HELENA BOGUSZEWSKA

Do trzech razy...

Podług zeznań byłej więźniarki obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 29700.

Hałas, krzyk, tłumne szuranie nóg w drewniakach przed blokiem na ulicy. Więźniarki z tak zwanej nocnej „waczy“ niespokojnie nasłuchują. Z drewnianych piętrowych przyzwołują się głowy i ówdzie unoszą się głosy, ale w ciemności nic nie można dojrzeć. Przez nagłe otwarte drzwi, jak stado spłoszonych zwierząt wpędzono z zewnątrz do środka zziębniętą, tupiącą, zdysznaną ciżbę ludzką. Zionęło mroźnym powietrzem. Zaroilo się od ruchliwej szmerzącej masy: nowy transport kobiet!

Zakolęsała się tym tłumem cuchnąca ciemność wnętrza. Z przyzwołujących pytania. Skąd? Z krakowskiego ghetta. A przybyły tu już wczoraj po południu, tylko ta łaźnia, to przebieranie, strzyżenie, a wszystko w tym piekielnym pośpiechu, biciu, wrzasku... i to czekanie całymi godzinami, i cały czas bez jedzenia, i cały czas bez picia...

Ale te z przyzwołujących nie chcą wysłuchiwać żalonych dziewczyn. Znajdą to aż nadto dobrze. Te z przyzwołujących wieści ze świata a nie z obozu. Krakowskie ghetto? Może akurat znajomi? Może bliscy? Może nawet najbliżsi? Wszystkie aż się trzęsie od pytań i odpowiedzi. Ktoś się pyta rozpaczalnym szepcieniem, gdzie jest właściwie ten ósmy blok? Ktoś się śmieje, że tu, no właśnie to jest ósmy blok. Co, może nie dość przyjemnie? A może się myślało, że będzie można zaraz położyć się do łóżka, jak w domu?

Naładowana ludźmi ciemność roi się jak mrowisko, wzdycha, szepcze, jęczy, nawołuje się, nie można się odnaleźć, nie można się doliczyć. Część transportu została gdzieś przed łaźnią. Część u fryzjerki przy strzyżeniu, a może tam, gdzie rozdawano pasiały i bieliznę. A może u szwaczek, tam gdzie naszywano numery i żółte gwiazdy żydowskie...

Dość, że ich nie ma.
— No to co, że nie ma. Przyjdą.
Ale czy na pewno przyjdą? Jakaś matka rozpacza o swoje dwie dziewczynki. Córka, ta sama, która pytała o ósmy blok, bardzo się niepokoi o matkę. Trzy siostry dalej się gubią w ciemności, do znowu się odnajdują. Wszystkie szukają wolnych miejsc na przyczal. Dlaczego tak mokro? Dlaczego nie ma sienników, ani koców, ani nawet słomy?

Więźniarki z nocnej „waczy“, służba blokowa niecierpliwie się: spokoj ma być! Tu i ówdzie wybuch krótki wrzask, odgłosy poszturkiwania, czy uderzeń. Wszystko ucicha. Spokój ma być!

Jednak z nadejściem każdej spóźnionej grupy wybuchają nowe pytania, nowe poszukiwania. Blok brzęczy rozpaczalnymi, przyciszonymi nawoływaniami i lamentami jak ul.

W końcu czarna, ruchliwa, szemrząca ludzka masa, zalegająca dotąd środek, rozlewa się na przyzwołujących ścian. Na gołe deski, po kilka w jedno miejsce, byle jakoś odpocząć. Na miłość boską, odpocząć choć przez godzinę, choć przez chwilę!

Córka w milczącym udręczeniu oczekuje matki. Wyszukuje dla niej i dla siebie wolne miejsce na przyzwołujących. Wyciążyniemy po omacku rękami natrafia na naga chropowatość mokrą i cuchnącą deską. Rece cofają się same. Nie, nie położy się. I matka również na pewno nie zechce się na to położyć. Przeczekają jakoś tę noc, byle do rana. Tylko niech już raz przyjdzie, niech przyjdzie!

Przysiadła na suchym brzegu jakiejś przyzwołujących. Opiera o coś głowę. I natychmiast zasypia mającącym półsnem, jak w gorączce. I natychmiast znowu się budzi i znowu zasypia i tak ciągle. Dokoła niej wszyscy też zasypiają, budzą się, znowu zasypiają, wzdychają, szepczą i jęczą.

Uszy ma pełne straszliwych niemieckich wrzasków. Oczy ma pełne wariackich jakichś obrazów. Więc jakżeż to było? Czy naprawdę mogło być tak, że na oczach wszystkich esesowców biegła naga razem z gromadą innych nagicznych kobiet? A matka została wtedy przed łaźnią. I jeszcze ten jakiś Klauzen i ta Pfaffenhofen...

Chce opowiedzieć o tym wszystkim matce, ale matki nie ma. Została przecież przed łaźnią. Dokoła w ciemności wszystko się rusza, zasypia, budzi, wzdycha i szepcze.

Matka jest! Siedzi obok niej. Co za szczęście! Weszła z którąś grupą. Nie wiadomo jak odszukała córkę w ciemnościach. Nie, nie chce się położyć, przecież deski są całkiem mokre. Przeczekają jakoś tę noc razem przytulone do siebie. I to nie jest snem.

Ale tamte obrazki jakiejś wariackiej maskarady również nie były snem. Wystarczy ręką dotknąć samej siebie: ostrzyżona głowa pod cieniutką chusteczką, wytatuowana ręka, obce jakieś łachy, z wypukłościami ponaszanych numerów, trójkątów i gwiazd, bosa stopy tkwiące w drewniakach, jak w małych czółkach z jednej kłody drzewa. Jedyna pociecha, że są razem z matką. Ojca oddzielono od razu, a braciach nic już nie wiadomo, ale przynajmniej one są tu razem w jednej grupie, w jednym bloku, na jednej przyzwołujących, przytulone do siebie.

— Więc co ten Klauzen? Cóż ten Klauzen? — Matka nic nie może zrozumieć z tych najciszej szepczanych słów, nie może nawet powtórzyć: Unterscharführer, Anweiserka. Bo ta Pfaffenhofen była Anweiserka.

Nagle z głębokiej ciemności powstaje jakiś nowy, odmienny ruch. Trzaskanie drzwi. Hałas przy wejściu. Wstawać! Wstawać!

Nowoprzybyłe zrywają się w przerażeniu. Jakieś głosy uspokajają: to nic, to po prostu koniec nocy. Godzina czwarta rano.

* * *

— Pani pozwoli, — mówi prokurator — pani pozwoli przerwać sobie na chwilę. Musimy jakoś uporządkować sobie te pani zeznania. Zapisać.

I od tych jego słów wszystko zapada się i znika: tamta noc na ósmym bloku, i Klauzen, i matka...

Jest tylko córka zeznająca przed komisją badania zbrodni niemieckich. Duża i silna, dobrze ubrana w popielaty wiosenny kostium i ozdobne sandały. Twarz ma spokojną i podługą, o małych ustach, o liniach prawidłowych i prostych, jak rzeźba. Siedzi z nimi przy biurku w tym pokoju urzędowym, w którym wszystko jest jasne i sztywne. Pod dyktando prokuratora maszynistka zapisuje w skrócie urzędowym stylem:

„...Osiemnastego stycznia 1943 roku rano załadowano nas do wagonów bydłowych na dworzec zachodnim w Krakowie. Po południu przybyliśmy na dworzec, jak się później okazało, w Oświęcimiu. Zaraz po wyładowaniu podzielono nas na grupy, osobno mężczyźni, osobno kobiety...“

A dalej w innym miejscu:
„...Pod ścianami stały przyzwołujących, jak skrzynie na króliki, z jednej strony otwarte. Wewnątrz tych skrzyń spały więźniarki. Było tam pełno kału i było mokro. Dodaje, że w tym czasie bierzył się w obozie Durchfall, choroba podobna do czerwonki. W bloku nie było ustępu a strażniczki nie pozwalały wychodzić w nocy...“

„...Wobec tych warunków higienicznych nie położyłam się tej nocy spać i czekałam na moją matkę, która przysłała dopiero o trzeciej w nocy. Około czwartej „blekwa“ i „Stubedienst“ wezwwały nas na ranny apel...“

Ale prokurator nie chce teraz słyszeć o rannym apelu. Chce najpierw zakończyć z dziejami nocy. Więc przede wszystkim: co ten Klauzen? I ta Pfaffenhofen — dopytujemy się wszyscy jak wtedy matka i jak matka nie możemy nic zrozumieć.

Maszynistka stukła na maszynie:
„...Klauzena tego zobaczyłam po raz pierwszy wtedy, kiedy byłam jeszcze w łaźni nago. Przeprowadziła go do łaźni Anweiserka Pfaffenhofen. Ta Pfaffenhofen była malarka, a raczej mówiła, że jest malarką i zobaczywszy, że jestem dobrze zbudowana, oświadczyła, że będzie mnie rysować, to jest robić mój portret i pytała czy mam wyrażone pismo i czy władam językiem niemieckim. Gdy na te pytania odpowiedziałam twierdząco, oświadczyła ona, że porozmawia ze swoim szefem Unterscharführerem Klauzenem, i że weźmie mnie do pracy, jako pisarkę, „Schreiberin“, do politycznego działu...“

I teraz to najważniejsze: że odtąd były razem z matką przez dwa tygodnie, że było bardzo ciężko, ale razem. Dopóki nie stało się tak, że trzeba było po raz drugi spotkać się z tym esesmanem Klauzenem... Dopóki się nie stało... — Co się stało?

Zeznająca nie odpowiada wprost na to pytanie. Nie od razu odpowiada. Przez chwilę milczy. I my również milczymy.

Za oknem wiosenne niebo pełne obłoków, popręciane gałęziami drzew już młodozielonych, a jeszcze zupełnie prawie ażurowych. Ale ona nie patrzy na niebo. Nie patrzy też na nas. Raczej poprzez nas, jakbyśmy byli powietrzem. Patrzą groźnie skupionym spojrzeniem swych dotąd spokojnych oczu. W tamten straszny jakiś czas, kiedy po dwu tygodniach musiała po raz drugi zobaczyć się z esesmanem Klauzenem.

„...Zaznaczam — znowu pośpiesznie wystukuje maszynistka — zaznaczam, że już od chwili wywiezienia mnie z krakowskiego ghetta, nosiłam się z zamiarem samobójstwa, ponieważ wiedziałam, że z Oświęcimia żaden Żyd wyjść nie może. Od popełnienia samobójstwa chroniła mnie tylko moja matka...“

* * *

Matka, matka. Ciągłe matka, zawsze matka. Cóż wypełniło te dwa tygodnie oprócz córki zamiarów samobójczych, prócz matczynej walki z tymi zamiarami?

Znowu odrywa się myśl od dnia dzisiejszego. Zapadamy jak w otchłań w tamtą ciemność, w tamtą rozjęzaczoną, koszmarną noc, zakończoną rannym apelem.

Apel w jednej chwili postawił na równe nogi całą tę ciżbę dopiero co wyrwaną z majającego półsnu, a już od razu przerażoną i gotową do przyjęcia nowych ciosów.

Przynaglany wrzaskami i biciem pośpiech w ścisisku przy rozdawaniu porannej zupy z kottla, zupy niedostępnej dla nowicjuszek, nie

mających jeszcze misek i nie umiejących się jeszcze naleźć pchać. Potem ścisisk, bicie, popychanie przy wywalaniu się całego tego tłumu w mroźną, przedramną ciemność. W tak zwanej „lagrowej“ ulicy, to jest pomiędzy dwoma rzędami bloków, ustawianie się w piątki. Nieskończenie długie oczekiwanie aż przyjdzie „blockführerka“ i policzy czy żadnej nie brakuje. Całe godziny nieraz trwające stanie na mrozie w drelichach i starych letnich płaszczach z czerwona farbą naznaczonym krzyżem na plecach, z ostrzyżonymi głowami w cienkich chustkach, z gołymi nogami w holenderskich drewniakach. I odtąd tak już miało być co dzień.

Trzęsąc się z zimna i z tego szczególnego napięcia nerwowego, w jakim tu się ciągle żyło, matka i córka stały obok siebie. Potem, gdy nareszcie zjawiały się więźniarki-capo i zabierały grupy do pracy, matka i córka znowu szły razem. Tak miało być co dzień.

I co dzień od tej chwili nowa udręka: jak tu przeżyć przez bramę obozu, gdzie stoi cała banda esesmanów z psami specjalnie tresowanymi, a każdy pies rwie się na smyczy i aż się zanosi, aż się dawi wściekłym ujadaniem.

Nic to, nic. Przejdzie się jakoś razem, byle nie patrzeć na strony, tylko wprost przed siebie, bo tak jest najlepiej. I byle tylko nie okazać strachu i nie przyspieszać kroku. Przejdzie się na pewno i żaden pies się nie rzuci, byle tylko nie oglądać się. I byle razem.

Bo jak tylko jeden jedyny raz matkę zabrano osobno do innej pracy, w innym „komando“, przy burzeniu domów, to wróciła wieczorem z udem poszarpanym przez psa. Raz jeden tylko rozłączono je i zaraz musiało się coś zdarzyć. Dopóki razem, to jeszcze w ogóle jakotako.

Czy naprawdę jako-tako? Przecież „Kissgrube“ to najgorsze „komando“. Trzeba wykopywać kamienie z zamrzniętej ziemi. Przez cały dzień na mrozie trzeba tłuc kamienie. Popękana skóra na rękach, odmrożone, obolałe stopy w drewniakach. Córka nie chciała tłuc kamieni. Chciała po prostu umrzeć i to zaraz, już! Pomyśleć tylko, co za szalona pokus! Pod nisko nawisłym zimowym niebem najwycyżniej w świecie iść przed siebie, włokąc nogi odmrożone i poranione w potwornych drewniakach i wiedząc na pewno, że się je wlecze po raz ostatni. Zostawić za sobą ujadające psy, „esesmanów“ i „capo“ i gorzką czarna kawę z dziesięcioma deka chleba, i żupę z brukwi — i iść. Albo dotknąć ręką drutu, albo nawet nie dotknąć, tylko jeszcze przed drutami paść od kuli strażnika z wieży — już.

Matka nie dawała iść! Matka pracowała za dwie, za siebie i za córkę, i przekonywała, tłumaczyła, że przecież jednak może się przetrzymać, żeby jeszcze poczekać, żeby jeszcze próbować.

— Czego próbować? — niecierpliwiała się córka. Matka nie wiedziała czego próbować. Ale wiedziała, że musi próbować wszystkiego, żeby córkę powstrzymać od samobójstwa. I powstrzymała. Może nie żadną perswazją, może po prostu tylko tym, że istniała.

„Rano Aufseherki obchodzili naokoło obozu po linii drutów, na tej linii znajdowały po kilkanaście trupów kobiet, które popełniły samobójstwo“.

Tak. „Komando Kissgrube“ to było najgorsze komando, niemożliwe do przetrzymania i powinno być wielkim szczęściem dla córki znaleźć się nagle pewnego dnia w czterech ścianach i pod dachem, w kancelarii Oddziału Politycznego, z piórem w ręku przy stole, zamiast na zamrzniętej ziemi z łopata. Wypisywać na papierze długie litanie nazwisk, zamiast tłuc kamienie na mrozie. Anweiserka Pfaffenhofen dotrzymała obietnicy.

Powinno być wielkim szczęściem, ale nie było. Bo przecież matka została w „Kissgrube“ i każda chwila była zatruta myślą o matce, że ona tam, tymi zgrabiłymi, popękkanymi od mrozu rękami wyciąga kamienie z ziemi. I dlaczego przy niektórych nazwiskach są litery S. H.?

Wieczorem powrót na blok ósmy, choć teraz wobec zatrudnienia w politycznym dziale można było już spać w lepszym bloku, arcyjskim, a nie żydowskim. Ale na żydowskim ósmym bloku czekała matka...

Każdy wieczorny powrót, to długie zamieranie serca z niepokoju, czy nie stało się co złego, a potem króciutka chwila radości, że się nie stało. I czasami bardzo rzadko, chwila nadziei, że pomimo wszystko jednak może się nie stanie. Przecież minęła już jedna niedziela i wszystkie więźniarki z ósmego bloku ustawiono przed drzwiami i Rotenführer Taube długo stał przed nimi. Oczami błądził po twarzach, nie wiadomo czym się kierował. Czy, że stara, czy że młoda, czy że ładna, czy że brzydka? Wskazywał palcem: ta, tamta, ta tutaj z brzegu... Czasem bywało i tak, że przyglądał się jednej, a w końcu palcem wskazywał drugą. Te, które wskazywał palcem, zabierano na blok dwudziesty piąty, poczekalni śmierci. Z bloku dwudziestego piątego już tylko jedna droga prowadziła — droga do ko-

mory gazowej. To wszystko razem nazywało się „selekcją“.

Więc minęła jedna niedziela i nic. Taube na matkę nawet nie spojrział. Nie zwrócił najmniejszej uwagi.

Na następną niedzielę Taube wskazał palcem właśnie matkę.

Zupełnie inne jest nieszczęście kiedy zagraża, a inne kiedy spadnie. Dopóki zagrażało, córka myślała, że jest na wszystko przygotowana i zrezygnowana. Kiedy spadło, szalała. Co robić, żeby ratować matkę? Do kogo się zwrócić jak nie do Anweiserki Pfaffenhofen?

Okazało się, że Anweiserka Pfaffenhofen nie tu nie może poradzić. Może tylko wstawić się do swego szefa esesmana Klauzena i ułatwić z nim widzenie.

Więc znowu ten Klauzen? Ale namyślać się nie można ani chwili. Matkę już zabrali na dwudziesty piąty blok.

Jakimi słowami córka błagała tego Klauzena, sama już nie wie, — nie pamięta. Ale pamięta dobrze jaką odpowiedź usłyszała poprzez łomot własnego serca, poprzez szum w uszach. Usłyszała, że Klauzen choćby mógł, to by jej matki nie ratował, bo to nie miałoby ani sensu, ani celu. Po co? Przecież prędzej czy później matka pójdzie i tak do gazu, należy o niej zapomnieć. Zresztą w gazie śmierć jest dosyć lekka...

Tak powiedział. I takie było drugie spotkanie z Klauzenem.

Czy o tym Klauzenie będzie jeszcze dalej?
— Nie, nie. — Zegnająca wygląda jakby powracała z daleka.

— No, to musimy teraz zapisać to wszystko — decyduje prokurator. Maszynka zaczyna znowu stukać.

My wszyscy czujemy się, jak wyrwani ze złego, męczącego snu. Przywrócenie rzeczywistości, patrzyjmy teraz, jak za oknem polyskliwie chyboczą się małe liście na gałązkach poruszanych słonecznym wiatrem. Z niejakim zdziwieniem słuchamy poprzez stuk maszyny, jak za żelaznymi sztachetami dziedzińca ulica wykrzykuje wciąż jednakowo głosami przekupniów.

Klauzen? Klauzena nie widzimy. Jest bez twarzy, jest jak symbol niepojętej grozy. Ale oto obok niego wyrasta już ten jakiś Taube, zupełnie cielesny, a jeszcze mniej od tamtego rozumiały. Rotenführer Taube. Młody, nie mający chyba nawet dwudziestu lat, z pejcsem w rękę, z obrzydliwą twarzą zbira i okrutnika, staje nad płaczącą: — Was weinst du, blöde Kuh?

Wracamy do tamtych spraw i akurat w to miejsce, z którego wyrwał nas głos prokuratora. Więc tak: matka jest na dwudziestym piątym bloku, a córka musi wpisywać swoje litanie nazwisk na politycznym oddziale.

Pisze i płacze. Czy przesłaniają jej litery. Przesłaniają też Taubego. Nie zdaje sobie w tej chwili sprawy z tego, że to właśnie Taube jest Führerem dwudziestego piątego bloku, i że od niego wszystko zależy.

— Was weinst du, blöde Kuh? — Taube jest drobny i wychudły jak gruźlik, uderza się pejcsem po cholewie. A dowiedział się o co chodzi zaczyna się śmiać, grozi pejcsem.

— To ty o takie głupstwo płaczesz? Jak cię porządnie zdzielię tą gumą, to będziesz miała przynajmniej o co...

Córka przestaje płakać. Podnosi głowę. Nowa siła w nią wstępuje.

— A pan rozumie co to znaczy „matka“?

Teraz robi się coś dziwnego, coś niepojętego. Zbój przestaje się śmiać, przestaje nawet bawić się pejcsem. Przez chwilę milczy, jakby się namyślał, czy coś sobie przypomniał. Potem pyta o numer matki, wychodzi. Ale powraca, zanim zdążyło opaść straszliwe wzburzenie córki. Powraca ze stałą przepustką dla niej na dwudziesty piąty blok. Z zapewnieniem, że matka nie pójdzie z transportem do gazu. Ze zostanie na dwudziestym piątym bloku, jako Stubedienst.

A więc matka jest uratowana! Oddychamy wszyscy z ulgą. Teraz dopiero okazuje się, jak bardzo pograżyliśmy się w tamten czas, okazuje się, że prokurator już od dawna nie przerywa zeznań, żeby je streszczać do protokołu, że maszynistka już od dawna nie stukła na maszynie. Przeżywamy wszyscy tamtą sprawę. A teraz okazuje się również, że za oknami inaczej chylą się w wiosennym słońcu czuby drzew, że inaczej szumi ulica... Matka jest uratowana!

Przywykliśmy już do zeznań oświęcimskich. Operujemy nazwiskami setek tysięcy zamordowanych matek, ale ta właśnie, ta matka nie pójdzie do gazu! Jest nam tak, jakbyśmy dzielili coś z tryumfu córki, która jednak zdołała uratować matkę od śmierci. I teraz chodzi już tylko o to, żeby czym prędzej iść na dwudziesty piąty blok, czym prędzej powiadomić matkę. Bo może ona wcale nie wie o tym, że jest uratowana?

Blok dwudziesty piąty składa się z dwóch baraków, otoczonych murem. Tak odcięty od reszty obozu, niedostępny jest jak twierdza.

To nic, bo przepustka Taubego otwiera bramę do twierdzy i nawet blokowa uprzedzona jest o przyjeździe córki. To także nic nie znaczy, że podwórze dwudziestego piątego bloku zawalone jest trupami kobiet. To tylko dlatego, że całego obozu tutaj znoszą trupy, żeby je stąd wywieźć do krematorium. Nie należy się tym przejmować. Również tym nie należy się niepokoić, że matka gdzieś się podziła i tak długo nie nadchodzi. Szukają jej i nie mogą znaleźć. Tak, to czekanie jednak trochę za długo trwa.

W pewnej chwili blokowa prowadzi przez podwórze jakąś staruszkę. Staruszka jest niechętna i oporna. Nie chce iść. Czyby to miała być matka? Nie, to niemożliwe. Czyż człowiek może się tak zmieniać przez dwie doby? Widocznie może, jeśli przez dwie doby przeżywa śmierć. Matka nie wierzy w to, że żyje, nie wierzy również, że widzi przed sobą córkę, wcale nie chce z nią rozmawiać, w ogóle nic nie chce.

Powoli, cierpliwie, nieskończoną ilość razy trzeba jej tłumaczyć, że stał się cud, że jest wyłączona z transportu, że żyje, że będzie żyła, a że będzie pracowała tu jako posługaczka, a córka będzie ją odwiedzała co dzień, co dzień...

Cud dalej działa. Powoli, stopniowo wygląda się, przytomnie, odnajdując się niejako dobra, znajoma twarz matki. Zmienia się w oczach, jak na filmie. Po prostu na wpół obłąkana staruszka robi się dawną matką. Już rozmawiają po dawnemu. Razem już układają sobie nawet jak na dwudziestym piątym bloku można ułożyć życie. Bo córka będzie co dzień odwiedzała matkę, a matka codziennie będzie czekała na córkę i tak sobie to czekanie zorganizują, żeby dzień prędko minął i cały się tym czekaniem wypełnił. Starają się nie patrzeć, starają się nie widzieć tego podwórza zawalonego trupami. Skoro dzieją się takie cuda, jak z tym Taubem, skoro nawet taki Taube mógł się zmienić, to najwiedoczniej wszystko jeszcze może się zmienić...

Cóż mi przyszło do głowy, żeby właśnie w tej chwili spytać o Taubego, czy ta zmiana była w nim istotna? Czy na długo...

Ponure, skupione spojrzenie. Bezradne rozłożenie rąk: — Wie pani, ja w końcu sama nie wiem, czy on się zmienił, czy nie... To jest oczywiste, że coś się w nim poruszyło, skoro to wszystko zrobił. Może jakiego wspomnienie, czy coś... Ale właściwie to ja go zupełnie nie rozumiem... Przecież już zaraz w tydzień potem, zaraz przy następnej selekcji moja matka znowu była przeznaczona do transportu do gazu.

Milczymy wszyscy. Słyszeliśmy już różne zeznania, ale w tym wypadku jesteśmy jednak zaskoczeni. Bo cóż znaczyła tamta scena, jak z filmu? Czy już tamte jakieś wspomnienia, tamto poruszenie przestało działać? Więc jakże się zachował za drugim razem, po tygodniu?

Niby się zgodził, ale niechętnie. Czuło się, że ma tego dość, sprzykrzyło mu się, słuchał od niechęci, a właściwie wcale nie słuchał, machnął ręką na odczepne, coś mruknął; no to niech zostanie.

— Jak to: niech zostanie?

— Tak powiedział: Sie kann bleiben. Ale kiedy w czwartym tygodniu była znowu selekcja, ledwie zdążyłam przybiec na dwudziesty piąty blok, patrzę, coś strasznego się dzieje, krzyki, ludzie biegną, stoi auto. Moja matka już w samochodzie, wcisnięta byle jak, razem z trupami, chorymi, z półżyłymi...

Znowu robi się chwila milczenia. Czy matka spodziewała się jeszcze, że i tym razem córka w ostatniej chwili... a może już tylko chciała, żeby prędzej się skończyło? Ach, nie, o tym przecież nie można już wcale rozmyślać!

I choć nikt z nas nie był na dwudziestym piątym bloku i nie widział tego podwórza, teraz zato widzimy je wszyscy: ruch, biegająca, wrzaski blokowych, jęki przerażonych, beznadziejnych ze strachu, gwałtem wleczonych kobiet. Taube, nasz Taube, sam stoi przy samochodzie. Wrzeszczy, komenderuje. Każę ciśkać je na samochód, byle jak. Sam je wrzuca.

W milczeniu patrzymy na córkę. Nie śmiemy pytać. No i co, no i jak, w jaki sposób?

— Sama nie wiem, nie umiem powiedzieć, jak potrafiłam to zrobić! Jakby już z tamtego świata. Tego już wcale nie można sobie wyobrazić, to było wszystko w strasznym wrzasku i w strasznym pośpiechu... Auto odjechało. Matka została.

I jakby razem z plekielnym zgłębieniem tego auta odjeżdżającego w śmierć, spokój wstępuje w naszą zeznającą, kamienny, niedobry jakiś spokój. Niechętnie, prawie martwo opowiada dalej, że choć udało się po raz trzeci, to jasne było, że ten stan rzeczy nie da się długo utrzymać. Istotnie ledwie się piąty tydzień skończył, znowu selekcja, znowu transport. Już wtedy było wiadomo, co znaczy litera S. H. przy nazwiskach: Sonderhandlung. Więc matka wychodzi raz rano na podwórze na spotkanie córki, spokojna, zrezygnowana: — Już tym razem nie uratujesz mnie, moje dziecko. Do trzech razy sztuka.

Tak powiedziała: do trzech razy sztuka. Jakby w jakiejś bajce dla dzieci, czy co. Przyszła blokowa, pokławiła głową: — Tak, tak, tym razem już się nie uda.

Nie udało się. Taube słuchał zdruzony, wezwał matkę. — Also du bleibst, du Alte — powiedział, że niby to nie pójdzie do gazu.

I od razu wyprawił córkę, żeby wracała do swojego bloku. A wieczorem posługaczka z dwudziestego piątego bloku przysłała wezwać ją, żeby zabrała rzeczy, które tam zostały po matce zabranej z transportem, zagazowanej i spalonej tego samego ranka. Przyniosła matczyne okulary, matka prosiła, żeby je oddać córce na pamiątkę.

Robi się zupełnie cicho, zeznająca zaplata piękne palce o wymanicrowanych paznokciach i milczy. Wygląda niby tak samo, jak na początku, młoda, silna, o szlachetnym wyglądzie, dobrze ubrana, poważna, modnie uczesana, ale w oczach i całej spokojnej postaci jest teraz coś takiego, jakby była zupełnie pusta od wewnątrz. My również czujemy się, jakby puści i pogrążyli w pustce. Dziwne zmnęczenie ciał nad nami wszystkim, nad całym tym urzędowym sztywnym pokojem, z jakby niepotrzebną wiosną za oknami.

Jeszcze jedno, ostatnie pytanie: jak było z tym odbiorem rzeczy na dwudziestym piątym bloku, i co potem z tym Taubem?

Powoli, z wysiłkiem maszynistka wystukuje na maszynie dalsze straszne zeznania:

„Postępowania Taubego zupełnie nie rozumiałam. Był to sadysta, nie znający żadnych uczuć ludzkich. Szczególną brutalnością odznaczał się w wybieraniu kobiet z poszczególnych bloków na blok dwudziesty piąty i w ładowaniu ich na auta...
Nieraz po kilka dni nie pozwalał więźniarkom dawać wody, ani jedzenia, bił je bez mi-

HENRYK SZLETYŃSKI

O twórczości Stefana Jaracza

Niewielu jest w Polsce artystów, którzy z tą samą słusnością o Jaracz powiedzieć mogą: „Ja nie z soli, ani z roli, ale z tego, co mnie boli, wyrosłem”...

Przed siedemdziesięciu pięciu laty, ojciec Stefana, dwunastoletnie chłopię wiewskie, syn malarzowski, opuścił zagrodę rodzicielską i powędrował do miasteczka, bo wiedział, że tam można uczyć się w gimnazjum. Był rzeczywistym Andrzejem Radkiem. Poświęcił się zawodowi nauczyciela ludowego, a potem syna najstarszego pchnął na wszechnicę podwawelską. Syn został aktorem, ale nie aktorem-odgrywaczem, dumnym z umiejętności udawania coraz to innych ludzi („dzisiaj szewc, jutro król”). Został aktorem walczącym i zdobywającym. Jego droga twórcza, to dalszy wspaniały etap samego zdobywania, które kilkunastoletniego ojca zawiodło do szkoły.

Wrażliwy i inteligentny widz mógł opowiedzieć, w czym zawierało się aktorstwo Stefana Jaracza dla widzów. Nieporozumienia pojawiają się dopiero wtedy, gdy mowa o istocie jego sztuki w szerszym znaczeniu, o ocenie wartości, które składały się na zapewne owej sławnej ekspresji Jaracza, wartości, które istniały po zapadnięciu kurtyny, które istnieją dzisiaj po jego śmierci i — wykute przez niego — w warsztatach polskiej sztuki aktorskiej przez długie lata zostaną.

Więc cechy „gry” Jaracza, jak się rzekło, dla wszystkich są jasne. Uderzająca prawda i prostota, nieobecność fałszu i sztuczki, siła ekspresji, całkowita jedność z postacią, sugestywność niezwykła i owo coś, na co nie ma dokładnego nazwania w słowniku, bo nie daje się stwierdzić żadnym miernikiem, a samym jego odczuwaniem, coś co popularnie nazwano bezpośredniością.

Lecz sztuka Jaracza, jak każdego artysty wielkiego, wielką była i pozostanie tajemnicą. Tylko ci, co mieli szczęście blisko współpracować z Mistrzem Stefanem i obserwowali okrutny jego trud przy wydobyciu i kształtowaniu postaci, tylko ci zdają sobie sprawę z wielkiej sztuki Jaracza, z tego, co w nim było doskonałością kunsztu, niezawodnością rzemiosła, dokładnością techniki, pewnością systemu, uporem doktryny zawodowej, świadomością tworzenia. I tylko ci mogą zrozumieć całość zjawiska, któremu na imię: Stefan Jaracz. Bo utarło się w szerokich kadrach publiczności, wśród najbardziej wyrobionych widzów, a nie mało i wśród aktorów, przekonanie, że Jaracz nie miał „kunsztu”, że to wielki i niezwykły talent i koniec. Koniec?... Jak gdyby talent mógł „sam grać”, jakby rola sama mogła się grać, jakby trzydziści pięć lat coraz silniejszego oddziaływania artystycznego mogło przepłynąć bez olbrzymiego wysiłku, bez arcyrozumnie kontrolującej świadomości, bez nieustannego z dnia na dzień wytwarzania z przebiegłą — lecz jakżeż piękną — chytrą, co jest techniką sztuki aktorskiej.

Sposób pracy Jaracza nad rolą przypomina chirurga, szukającego igły utopionej w ciele: nakułwa nieraz w ciągu wielu godzin nerwy w okolicy przypuszczalnej, aż znajdzie. Ileż krwi spływa od tych nakułów, ileż cierpień przy tym szukaniu! Metoda Jaracza była na wskroś analityczna. Jaracz nie darował żadnemu momentowi roli, wgrzyzał się jak drapieżca w każdy zakamarek, potrażał nim, szukał wszystkich możliwych uzasadnień i sposobów zrealizowania. W ten sposób budował to, co jest świadomością dzieła rzucanego przed wi-

losierdza, bez żadnego powodu i gdzie popadło. Gdy ładowano więźniarki na auta, by je przewieźć do komory gazowej, kazał wrzucać je jak pakunki i sam osobiście to robił...

Na własne oczy widziałam, że po każdym transporcie kobiet wysyłanych do gazu, podwórze bloku dwudziestego piątego wyglądało strasznie. Było ono całe zalane krwią, którą musiało zmywać specjalne „komando”, tak zwane „Reinigungskommando”. Gdy przychodziłam na ten blok, słyszałam straszliwe krzyki więźniarek, wzywających pomocy i wody. Krzyki te słyszałam było w całym obozie. Na bloku tym więcej nie byłam, a nawet nie zgłosiłam się po odbiór rzeczy, które matka tam zostawiła. Moja matka usiłowała chorą pomagać i za to niejednokrotnie była bita przez inne „Stubediensty”...

Więc jeszcze i to. Znowu milczymy. Myślimy o jednym. A zeznająca nagle obejmuje rękami głowę. Jej ładne puste oczy napętlają się taką grozą, że mimo woli odwracamy od niej wzrok. Bo cóż to ona mówi, jakby sama do siebie? Że Klauzen miał rację? Że najwięcej teraz sobie wyrzuca właśnie to, jak mogła ratować matkę od śmierci przez te pięć tygodni?

— A tych okularów, to też już nie mam, — dodaje po chwili — ukradli mi.

Na tym protokół przerwano do dnia 2-go maja 1945 r., godz. 9 rano.

Helena Boguszeńska

dzów. Kontrola świadomości, odpowiedzialność, metodyczność, to właśnie podstawowe cechy Jaracza. Jaracz nie układał gestu, wyrazu mimicznego, intonacji, lecz wydobycwał je spontanicznie. Spontanicznie, — tak, ale te spontaniczność rozwijał dopiero po całkowitym uświadomieniu, jako rezultat tego uświadomienia. Zatem zawsze na próbach, nie podczas spektaklu. Ta uświadomiona spontaniczność stworzyła wielkość.

Lecz myli się i ten, kto sądzi, że Jaracz szedł tą drogą zawsze, nie znając innych szlaków zdobywania powodzenia. Znał je dobrze z własnych prób. Mało kto wie o tym, że przez pierwszych kilkanaście lat pracy aktorskiej Jaracz nie wychodził na scenę bez doklejonego nosa, obawiając się, że jego własny razi oczy widza. Aż zrozumiał, że, jak sam mawiał, trzeba mieć odwagę noszenia własnej twarzy. Przez wiele lat oglądaliśmy Jaracza w niezmiennym wyglądzie, ale sztukę charakterystyki posiadał w stopniu doskonałym.

Był realistą o skłonnościach ekspresjonisty. Obserwował i czerpał z natury. Ale z tych doświadczeń zostawały mu w pamięci nie sumy szczegółów, lecz zasadniczy wyraz, rzecz by można, ekspresja ogólna. Dlatego, mimo skrupulatnej, upartej, głębokiej pracy analityczno-dowodzącej, figury jego miały zawsze silny rzut syntetyczny.

Talent o charakterze syntetycznym, kierowany świadomością metody analitycznej — oto istota wielkiej drogi Stefana Jaracza. Z okrutnej walki tych przeciwstawnych sił zrodziła się wielkość. Bo Jaracz nie poddał się swemu talentowi, nie pozwolił mu nieść się po bystrej fali łatwizny, lecz rzucił przeciw jego biegowi w trudzie przemyśleń zrodzoną celowość, dokładność, bezzawodność, przeciwstawiając w ten sposób swoją dyscyplinę większości aktorów swego pokolenia, a młodszych do niej namawiając.

Jak w każdym wielkim artyście, była w Jaraczu ustawiczna młodość, ciekawość świeżych zadań, gotowość nowych trudów. Aż do roli Arnolfa w molierowskiej „Szkoła żon” Jaracz, jak większość aktorów jego pokolenia, nie poświęcał zbytnej uwagi sprawie wypowiedzenia wiersza. I oto, przybywszy na generalną próbę „Szkoły żon”, uderzony byłym tym, że realizm i psychologizm Jaracza, bezzawodnie, bez żadnych odchyłań, utrzymuje się przez całą ogromną rolę na równej fali rytmiki wierszowej. Kiedy mu o tym powiedziałem, z radością sięgnął po egzemplarz roli z okrzykiem: „Patr!” Cały tekst poznałszy był dwukolorowym ołówkiem, średniówki, trudniejsze dykcyjne człony, zawieszania. Mimo, że wiersz Moliera to równy Aleksandryn, przekład Boya idealny, ten człowiek osobno wypracował ścisłość i precyzję dykcji wierszowej. Jeżeli dodać, że Jaracz nie miał od natury świetnej pamięci, ogromu trudu jego życia wciąż w naszych oczach rośnie i rośnie.

W kilkanaście godzin po dziewięćdziesiątym ósmym spektaklu „Koeppenicka” w Warszawie, Jaracz rozpoczął pracę nad tą sztuką z nami — na scenie łódzkiej. Próby trwały dwa tygodnie, graliśmy czterdzieści dwa razy, czasami dwukrotnie w ciągu dnia. Przez cały czas Jaracz był jednym kapitanem z Koeppenicka — nie tylko w ogólnej tonacji, ale we wszystkich momentach sztuki, w każdym geście, pochyleniu głowy, wyrazie oczu, w modulacjach głosowych. I za każdym razem gra jego była jednakowo świeża, nowa i sugestywna. Tę zasadniczą metodą gotowości co-

dziennego powtarzania postaci stworzył, jak wiadomo, Stanisławski, ale Jaracz doprowadził ją do doskonałości niezwykłej, jeśli zważyć, że była ona w założeniu sprzeczna z jego temperamentem żywiołowca, fantazją, organiczną sugestywnością i naturą silnie neuraasteniczną.

Lecz ten, kto by, opierając się na powyższym przykładzie, sądził, że Jaracz powracając do roli po latach grał ją tak samo — ten znów rozminąłby się z rzeczywistym stanem rzeczy. Albowiem Jaracz zbudował swoją metodę tworzenia w zrozumieniu jedności artysty i człowieka, w doskonałym stopniu Wahrheit z aktorską Dichtung. I to nie zawsze jest należycie oceniane nawet przez tych, którzy mają jaraczową Wahrheit. Kiedy grał swego Skida w „Artystach”, Mieczysław Limanowski napisał, że jest to eksploatacja prywatnego życia Jaracza. Jaracz jest z tych, którzy z życia swego zrobili całopalenie na warsztacie artysty. Dlatego każda jego rola tragiczna była osobistym tragicznym przeżyciem, każda rola komediowa — osobistą zabawą. Wrażliwy i czuły na zjawiska i wydarzenia, jak poeta średniowieczny rozumiał wieczystą trudność oddania intensywności życia przez sztukę i jak Krzysztof Marlowe żył mocno, intensywnie, zatapiając się w życiu do utraty tchu.

Teraz spróbujmy sobie wyobrazić, jakiego to sposobu trzeba, by przełać w naczynie roll zgaszoną a zarazem burzącą się lawę materiału z tą idealną pewnością i pełnością, jakich Jaracz kategoricznie, bez reszty, bezkompromisowo, po tyrańsku od siebie żądał, a równocześnie wykuć w kształt, który nie byłby kopią momentu życiowego, lecz tworem artystycznym, boć tylko to dawało Jaraczowi zwycięstwo na wszystkich scenach i widowniach. Dlatego niemożliwe dla Jaracza było to, co tak bardzo na scenach naszych jest rozpowszechnione: jeżeli aktor grał już daną rolę, to uważa jej rezultat za coś nienaruszalnego i oświadcza reżyserowi, że tyle razy grał... na różnych scenach... iż nie bierze odpowiedzialności za to, że na spektaklu zrobi tak, jak dotychczas się przyzwyczaił. „Grałem, grałem tę rolę...” — to wielkie słowa dla wielu aktorów. Kiedy przed inauguracją teatru „Ateneum” opowiadałem jednemu z naszych najwybitniejszych reżyserów, jak bardzo Jaracz pochłonięty jest pracą nad Rejentem frederowskim, świetny reżyser odrzucił mi lekko, że Jaracz grał już Rejenta, że to jego „stara rola”. A w zespolo naszym była koleżanka, która Jaracza w „Zemście” widziała (Moskwa, rok 1916) i nie interesowała się próbami. Dopiero po generalnej miała możliwość przekonać się, że Jaraczowi Rejent w roku 1930 nie jest Rejentem z roku 1916.

Z biegiem lat metoda tworzenia roli staje się u Jaracza coraz bogatsza, coraz bardziej skomplikowana. W pracy nad „Zemstą” i nad łatwą dla Jaracza rolą Franka Morana w „Ully” — można było obserwować, jak Majster (tak nazywaliśmy go w „Ateneum”) co parę dni tworzył szkic innej postaci na tym samym tekście. Z tych szkiców i fragmentarycznych studiów, z tych świadomych prób stwarzał dopiero w końcowej fazie roboty monolitową figurę.

W świetnym studium Stiepana „Osnownyje typy aktorsko tworczestwa” zróżnicowano cztery typy aktorskie: „imitatory, izobrazitelny, woplotitelny, improwizatory”. Jaracz jest oczywiście najdoskonalszym przedstawicielem typu trzeciego, „woplotitelny” (wcielającego się). I tu, w tym scalaniu się z graną postacią, która ma istnieć dla siebie, jako fikcja odrębna, niezbędna była Jaraczowi świadomość docierania do odbiorców. Odnosiliśmy — na widowni — wrażenie, że Jaracz nie wie o naszym istnieniu. Ale on wiedział dobrze! Jego rzut każdego wyrazu scenicznego nieuchwytną spiralą, wyrafinowanie subtelną trajektorią przelatujący przez widownię, zanim ostatni fragment gestu i ostatnia cząstka dźwięku wygasły na scenie. Tę równoczesność obydwu procesów: grę „dla siebie” i działanie na widownię, to niedostrzegalne złączenie uważał sam Jaracz za rzecz najtrudniejszą w sztuce aktorskiej, rzecz, na której zupełnie osiągnięcie życia ludzkiego nie starczy. Jedynie z wielkością Frenkela da się porównać sposób bycia scenicznego Jaracza. Jednak Frenkiel nie zastawił kontynuatorów swojego sposobu. Jaracza naśladować nie można, choćby się komu tego zachciało. Jego ekspresja mimiczna całego ciała jest niepowtarzalna, jego wstrząsy i zaburzenia w doskonałej pod względem mechanicznym dykcji stałyby się denerwujące i śmieszne u kogo innego. Ale po Jaraczu zostaną potężne wskazania, wypróbowane przez niego we wściekłym oddaniu, z chłopską zaciętością, z głębokim przekonaniem o ich słuszności. Jego wskazania umacniają innych, kładą szukają. I jakakolwiek drogą pójdzie nowa polska sztuka dramatyczna, zostaną one żywe i wielkie w świadomości aktorów, tak samo jak wielkie, w pamięci tych co je widzieli, pozostaną jego role.

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

EUGENIA KOCWA

Jedziemy na Dolny Śląsk*

WŚRÓD OSADNIKÓW

Wieś Fischbach odległa jest od Jeleniej Góry o 12 km. Można dojechać pociągiem elektrycznym od stacji Łomnica, a stamtąd jeszcze czeka 6 km drogi pieszo. Trud wart jest podjęcia — droga wije się uroczo pośród pól i lasów.

Któregoś dnia wybieram się tam, by odwiedzić naszych osadników. Na razie jest ich tu bardzo niewiele — jakie dziesięć rodzin; toną w morzu niemieczyzny. To sprawia, że czują się trochę nieswojo i bardzo się cieszą, że ktoś nowy z Polski przyjechał.

W jednym domu zastają tylko dwóch kilkunastoletnich chłopców, rodziców nie ma, gdzie wyszli. Zapytani skąd są, nie potrafią dokładnie powiedzieć. Najpierw mówią, że z Ukrainy, po czym w charakterze komentarza dodają: „Aż z Częstochowy”. „Ależ z Częstochowy to jeszcze bardzo daleko do Ukrainy!” W rezultacie okazuje się, że są z Wołynia. Wywieziono ich w czasie wojny na roboty — i tak tu już zostali.

Mają piękne gospodarstwo — ilości móg nie potrafią dokładnie określić — jednak cztery krowy stojące w oborze mówią same za siebie. „Takie piękne gospodarstwo! Na pewno jesteście bardzo zadowoleni”. A młodszy chłopak na to: „Wcale nie jesteśmy zadowoleni!” „No i dlaczegoż to nie jesteście zadowoleni?” „A bo tu mało Polaków!” Ach tak, o to ci chodzi, to przecież jest drobiaz. Na pewno Polaków będzie tu z każdym dniem przybywać i wtedy w gromadzie będziecie się różnie czuli.

Inna rodzina — to osadnicy z Radomskiego. Drobny, zabiedzony mężczyzna, rezolutna kobieta i ładna dwunastoletnia córeczka. Małorolni. U siebie w Radomsku mieli trzy morgi, namówiono ich do wyjazdu. Tu dostali gospodarstwo o powierzchni 16 móg magdeburgskich, z trzema krowami. Duże krowy holenderskie, doskonale utrzymane. Powiat jeleniogórski zasobny jest w krowy. Osadnicy przychodzą od razu w doskonałe warunki, obejmują gospodarstwa w toku normalnej pracy i wytwórczości, otrzymują cały inwentarz, wszystkie niezbędne narzędzia. Nie zachodzą takie wypadki, jak to się zdarzało w Poznańskim, gdzie ludzie przychodzili do gospodarstw opuszczonych, ogołoconych z inwentarza, w których nie wiadomo od czego zacząć, gdyż wszystkiego brak, nawet żywności nie ma. I tutaj osadnicy, podobnie jak w mieście, osadzeni są w gospodarstwach obok Niemców, co wprowadziło stwarza dość kłopotliwą sytuację, ale daje gwarancję nienaganego funkcjonowania gospodarstw z chwilą wysiedlenia Niemców.

Opowiadają, że początkowo czuli się tu bardzo nieswojo — tacy sami wśród obcych, wprost nie wiedzieli, co mają z sobą zrobić. Teraz są tu kilka tygodni i już zdążyli trochę się przyzwyczaić. Gospodarstwo podoba się im bardzo, mają bieżącą wodę nie tylko w kuchni, lecz i w oborze, wszędzie światło elektryczne. „Gdyby nas tu było więcej — wzdycha kobieta — wtedy byłoby zupełnie inaczej! Niech pani im powie, żeby przyjeżdżali, żeby jak najwięcej ludzi przyjechało — tyle pięknych gospodarstw jest tu jeszcze do objęcia!” „Tylko, żeby oni sobie stąd poszli” — dodaje, wskazując na parę Niemców, siedzących przy kolacji.

Zapytuję, czy we wsi jest kościół. Tak, są dwa kościoły: polski i niemiecki. „Co, jest tu już nawet polski ksiądz?” — pytam zdziwiona. „E, ksiądz polskiego to jeszcze tu nie ma, tylko jest kościół polski”. Domyślam się, że: polski oznacza tu: katolicki. Nagle kobieta się odzywa: „Żeby tu był polski ksiądz — mówi — wtedy byłoby zupełnie inaczej! Niech pani koniecznie powie, żeby ksiądz przyjechał, już my go tu wyzywimy”. Widoczne jest, że polski ksiądz jest dla niej synonimem czegoś swojskiego, że wtedy by tu dla niej była Polska, gdyby w niedzielę mogła wysłuchać polskiego kazania, podobnie jak przed tym w Radomsku.

Często mnie mlekiem i chlebem, a na zakończenie jeszcze raz prosi, ażeby koniecznie powiedzieć, by tu Polacy przyjeżdżali. „Tu — mówi — ziemi jest dosyć, jeszcze dużo ludzi się zmieści”. Czego im tu najbardziej brak — to swoich ludzi, którzy by stworzyli swojską atmosferę. Nowi przybysze zostaliby przyjęci z otwartymi rękami. Może tu właśnie wytworzy się ten zmysł społeczny, którego nam tak bardzo brakuje.

Na zakończenie zwiadam kościół. Jak mówi jego opiekunka, Niemka, pochodzi on z XII wieku, został wybudowany przez św. Jadwigę śląską. Jeszcze jeden dowód więcej, jak tradycje Piastów śląskich są na tej niemieckiej ziemi ciągle jeszcze żywe.

ORLETA GRUNWALDU

Droga wije się malowniczo pod górę. Jest godzina popołudniowa, niedawno spadł deszcz. Ochłodziło się po dniu upalnym i parnym, pachnie ziemią i świerkowym lasem. Auto lekko wspina się na górę. Jesteśmy w miej-

scowości Krummhübel, której polska nazwa ma brzmieć podobno Szklana Góra, nie jest to jednak ostatecznie ustalone. Otóż ta Szklana Góra położona jest u stóp góry Śnieżki, najwyższego szczytu w Górach Olbrzymich.

Hotel „Sans Souci” — to cel naszej podróży. W tym hotelu o figlarnej nazwie, niegdyś służącym za miejsce gościny dla zagranicznych dyplomatów, znalazło pomieszczenie 105 warszawskich dzieci. Trafiamy akurat na moment, gdy dzieci po podwieczorku wysypują się przed dom. Wszystkie czysto ubrane, uśmiechnięte. Są tu już tydzień i za ten krótki czas zdołali już trochę przyjść do siebie.

Jak opowiada sympatyczna kierowniczką, której synek jest również między dziećmi, dzieci, przeważnie ze sfer robotniczych, niezadko sieroty, przyjechały tu w dość smutnym stanie. Wiele było zaszonych, wiele nie miało nawet drugiej sukienki czy zmiany bielizny. W ciągu tygodnia zdołano już tym dzieciom poszyć kompletne wyprawki. Dziewczynki nie mogły się nacieszyć widokiem nowych sukienek. Chłopcy dostali gotowe ubranka z jakiegoś składu, w kolorze „Hitlerjugend”. To jednak nie przeszkadza; kolor był tak długo niesympatyczny, jak długo nosili go nasi wrogowie. Na naszych dzieciach wygląda równie dobrze, jak każdy inny spokojny kolor.

Na razie jest to kolonia wakacyjna. Po miesiącu część dzieci odpłynie, by zrobić miejsce innym, część jednakże pozostanie, gdyż projektuje się utworzenie tu szkoły, w której byłoby wychowywane „Orleto Grunwaldu” na obywateli świadomych zadań i obowiązków wobec państwa, na strażników naszych kresów, wiedzących, że od prawicy szło do nas niebezpieczeństwo z zachodu, zdecydowanych z niebezpieczeństwem tym walczyć i stać na straży ziem z takim trudem odzyskanych, a stanowiących kwestię życia i śmierci dla narodu, przez włóki spychanego ze swych rdzennych terytoriów.

Dzieci są tu bardzo dobrze odżywiane, dostają mleko i masło, kąpią się co drugi dzień. Patrzę na nie bawiące się, którym tydzień dobrobytu wystarczył, by zetrzeć z ich twarzy piętno nędzy, przypominam sobie z wczorajszego wizyty u osadników tego ojca rodziny, którego cały typ fizyczny ukształtowała gruźlica i chroniczna nędza, i myślę o tych wszystkich ofiarach niedostatku: bezrolnych i małorolnych, o robotnikach fabrycznych, gnieźdzących się po kilka rodzin w jednej smrodliwej norze, fizycznie skarłających, nie rzadko zwicniętych psychicznie. Myślę o naszym chłopie z Żywieckiego, z niektórych okolic Kieleckiego, z jałowych piasków mazowieckich: zabiedzonym i przygarbionym, o twarzy przedwcześnie porwanej bruzdami, dziwnie przytłumionym i apatycznym. I porównywał go z chłopem niemieckim: krwistym, tryskającym energią, głośno krzyczącym, gestykulującym z rozmachem, śmiejącym się rubasznie. I znowu myślę, że chłop polski żywił się przez całe pokolenia ziemniakami i kapustą, że nawet masło czy jajko było dla niego nieosiągalnym luksusem, a chłop niemiecki nawet w czasie wojny jadł kiełbasę i smalec. Ale ten chłop gospodarzył na kilkudziesięciu, a co najmniej kilkunastu morgach, gdy nasz chłop w okolicach najgłębszej zaludnionej żył z rodziną na dwóch lub trzech morgach, nie rzadko nawet na mordze lub półmordze. A jednak nie myśm przyzłi zabrać niemiecką ziemię, lecz Niemcy przyszli po naszą, bo jeszcze im było za mało „Lebensraum”.

Mówi się czasem, że nasz chłop jest leniwy. Lenistwo jest objawem psychofizycznym dość skomplikowanym. Składa się na nie wiele przyczyn, o których często nie wiemy, a czasem nie chcemy wiedzieć. Ford podkreślał wielką pracowitość polskich robotników, w obozie koncentracyjnym polskie dziewczęta — nie tylko z inteligencji lecz i ze sfer robotniczych i chłopskich na ogół uderzały swoją czystością, gdy Niemki z tych samych środowisk były odrażająco brudne. Te fakty mają swoją wymowę. Porównanie tylko wtedy mogłoby doprowadzić nas do słusznych wniosków, gdybyśmy porównywali ludzi znajdujących się w tych samych warunkach. Ta nieruchomości polskiego chłopca, zadziwiająca, jeśli się ją zestawia z pełnym temperamentem starymi pieśniami i tańcami ludowymi, ma swoje źródło w chronicznym niedożywianiu. W organizmach pobawionych stale dopływu tłuszczu, białka i węglowodanów, musiały zachodzić pewne procesy degeneracyjne, wywołując między innymi zjawisko zwolnionych reakcji. Do spotęgowania apatii przyczyniali się jeszcze czynniki psychiczne, a więc przede wszystkim świadomość, że „choćby sobie człowiek ręce i nogi urobił”, też pozostanie nędzarzem.

Mimo to chłop polski nie uciekał z ziemi masowo, w poszukiwaniu lepszej pracy, jak to czynił chłop niemiecki. Trwał na swoim zagone, aż się doczekał, że i dla niego wyblła godzina dziejowej sprawiedliwości. Reforma rolna w pewnej mierze zagadnienie chłopówkę rozwiązała. W znaczenie wyższej mierze rozwiązała je odzyskanie ziem zachodnie. Tylko trochę dobrobytu i trochę zadowolenia z re-

zultatów swej pracy potrzeba tym ludziom, których małą energią równoważy ogromna odporność, by rozkwitli i okrzepłi i zaczęli się śmiać głośnym, zdrowym śmiechem. Osadnicy z Radomskiego, w których stajni stoją trzy krowy, na pewno nie będą mleka swej córeczce żalować. A gruźlica nie należy do chorób społecznych o konsekwencjach nieodwracalnych. Dzieci dzisiejszych gruźlików, przeniesione w warunki dobrobytu, mogą się rozwijać w fizycznie dorodne, tryskające energią jednostki. W spadku po gruźliczych przodkach pozostaną im tylko piękne, długie rzęsy i artystyczne nośności.

CHOROBA ZACHODNIA

Właściwie, to chorób zachodnich jest kilka. I nie są one wyłącznie specjalnością zachodu. Jeśli jednak tak je nazwał, to dlatego, że tam występują one jaskrawiej, niż gdzie indziej.

Ze na zachód odpłynął element najbardziej przedsiębiorczy — to fakt. I to fakt dodatni. Ze jednak element najbardziej przedsiębiorczy rzadko kiedy bywa najbardziej uczciwy, to też niestety fakt. Jeśli ten element bardziej przedsiębiorczy niż uczciwy obejmuje różne prywatne przedsiębiorstwa, wówczas zło jest mniejsze, gdyż możliwości popełniania pewnych nadużyć, czy też snucia różnych kombinacji, nie zawsze z prawem zgodnych, są samymi rozmiarami i charakterem przedsiębiorstwa poniekąd ograniczone. Z tego też faktu zdawali sobie sprawę ludzie, dla których jedyną pobudką wyjazdu na zachód było pragnienie szybkiego i łatwego wzbogacenia się, i dlatego nie sięgnęli po przedsiębiorstwa, lecz po stanowiska: państwowe i samorządowe, jako dające możliwości nieskończenie większe.

Nie będziemy wpadać w przesadę i twierdzić, że urzędnik, stojący na straży zabezpieczonych na rzecz państwa magazynów ma koniecznie chodzić — na dowód swej bezinteresowności — w dziurawym garniturze. Przeciwnie, urzędnicy — jako pierwsi, a czasem jedyni na tym terenie przedstawiciele ludności polskiej — powinni przede wszystkim dostać dla siebie i swych rodzin asygnaty na materiały ubraniowe czy inne, powinni ze wszystkiego, w co dany teren obfituje, dostać tyle, ile potrzeba do dostatniego życia.

Jeśli jednak potrzeby osobiste zarówno ich, jak ich rodzin są w należyłym stopniu uwzględnione, jeśli niejednokrotnie dostają mieszkania w willach, należących przedtem do magnatów przemysłowych lub partyjnych dygnitarzy, urzędzone z przepychem, to należałoby uważać, że ich pretensje do dobrobytu zostały już zaspokojone i w zamian za ten dobrobyt powinni się starać z kolei możliwie najwięcej państwu przysporzyć. Gdy zamiast tego cały wysiłek ich mózgu skierowany jest na możliwie szybkie zdyskontowanie nasuwających się możliwości nie na państwowy, lecz na własny rachunek, wówczas sprawa nie jest w porządku. A tego rodzaju wypadki są stanowczo częstsze, niżby z punktu widzenia naszej przyszłości na tych ziemiach należało sobie życzyć. Jest to tym bardziej nie w porządku, że obok nich są — np. we Wrocławiu — urzędnicy, którzy od maja nie mogą się doczekać na przydział mieszkań, mieszkają gdzieś w Niemczech, nie zawsze życzliwie do nich się odnoszących, co wywołuje u nich zrozumięte rozgorzycenie.

Szczególnie przykra jest sprawa milicji. Instytucja ta zdołała już sobie pozyskać na ziemiach zachodnich dosyć smutny rozgłos. Ludzie przeważnie bardzo młodzi, często jeszcze niepełnoletni, o niewiadomej przeszłości, uzbrojeni w karabiny maszynowe, stają się prawdziwą plagą tamtejszych terenów. Jeśli się zamelduje o jakimś zjawisku, w którym konieczna byłaby interwencja milicji, uzyskuje się często w odpowiedzi wzruszenie ramion: „A cóż mnie to obchodzi?” Za to nocą ci, których w dzień nie nie obchodzi, przychodzą do zabezpieczonych na rzecz państwa magazynów i rabują co cenniejsze rzeczy.

Jest to sprawa najbardziej paląca i domagająca się reformy jak najszybszej i jak najbardziej gruntownej. Wprost nie ma dość dobitnych słów na to, by wyrazić, jak bardzo autorytet państwa na tym cierpi, że odpowiedzialną służbę bezpieczeństwa sprawują nieodpowiedzialne młokosy, dla których karabin jest w najlepszym wypadku środkiem do imponowania „zgnilym cywilom”, a nie rzadko narzędziem rabunku.

JAZDA Z PRZESZKODAMI

Aż cztery pociągi dziennie odchodzą z Jeleniej Góry do Katowic. Wybrałam pociąg o dziesiątej rano, który wprowadzi do dwóch nieuniknionych ma jeszcze trzecią dodatkową przesiadkę, ale za to odchodzi o najdogodniejszej porze.

Wyjeżdżamy punktualnie. Lecz już jakiś kilometr za stacją coś się zaczyna psuć. Pociąg zwalnia, wreszcie staje w polu. Po półgodzinnym postoju rusza dalej, ale już po pięciu minutach zamiast naprzód, zaczyna jechać w tył.

Wkrótce wyjaśnia się przyczyna tych zaburzeń. To zdejmują się przewody elektryczne,

remontowane instalacje. Z tego samego powodu nie odszedł wczoraj południowy pociąg ze Szklarskiej Poręby do Cieplic. A wieczór — zamiast elektrycznego — szedł już tylko parowy. Dziś przyszła kolej na linię: Jelenia Góra—Wałbrzych, stanowiącą część katowickiej trasy. Pięknie rozbudowana sieć kolei elektrycznej, do ostatniej chwili funkcjonująca z idealną punktualnością, w naszych oczach przestaje istnieć.

Znosi się na to, że pociąg w ogóle nie będzie mógł jechać dalej. Kierunek ciągle się zmienia: raz naprzód, raz w tył. Wytrwały maszynista bnie jednak dalej. W jakiejś dwie godziny dojeżdżamy do Łomnicy, do której przejazd trwał normalnie niespełna dziesięć minut. W tym samym tempie jedziemy dalej, tak że do odległej o 30 km Kamięniogóry, przyjeżdżamy na piątą po południu. Tam nam mówią, że dzis już pociąg dalej nie pojedzie, lecz o siódmej odchodzi pociąg z Ruhbank, odległego o jakieś 7 km. Jeśli tam się dostaniemy, to mamy szansę dalszej jazdy bez przeszkód.

Trzeba znowu szukać okazji. Okazja się trafia i to nie byle jaka. Wprawdzie jest to tylko drabiniasty wóz, ale jadą nim polscy oficerowie i żołnierze. Wydarzyła się im ta sama przygoda co nam, tylko jeszcze przed Kamięniogórą. Choć jest ich spora paczka, decydują się zabrać jeszcze kilka osób. Serce rośnie, gdy się patrzy na tych przedstawicieli naszej armii na zachodnich kresach. Uprzejmi, lecz raczej małomówni, poważni i skupieni, odbijają w sposób aż nieprawdopodobny od rozwydrzonej milicji.

Do Ruhbank dojeżdżamy w porę, ale tam czeka nas nowe rozczarowanie. Nie wiadomo, czy pociąg dzis odjedzie, a jeśli nie odjedzie jeszcze dzisiaj, to jutro nie odjedzie na pewno. Nastroj niepewności — denerwujący, przykry. Wreszcie o dziesiątej odjeżdżamy do Wałbrzycha, pociąg jedzie normalnie, tam się przesiadamy, ale już po kilku stacjach pociąg zawraca z powrotem do Wałbrzycha. Resztę nocy spędzamy na stacji, nad ranem odjeżdżamy do Centnerbrunnen. Stamtąd do Nowej Rudy znowu 6 kilometrów własnym przemysłem. Znajdujemy jakąś furmankę, przyjeżdżamy pół godziny po odejściu pociągu.

Następny? O czwartej po południu. Ładna perspektywa — całodziennie siedzenie na stacji. Na samą myśl o tym można wpaść w czarną melancholię. Ale zamiast tego lepiej poszukać dobrych stron w niemiłej przygodzie. Proszę moje przygodę towarzyszyć, dumającą nad stosem bagażu, aby przypilnowały, takżej mojej walizki, a sama wybieram się na rekonesans.

Warto było. Nowa Ruda jest nie tylko przyjemnym, podgórskim miasteczkiem, w którego okolicy znajdują się znane miejscowości kuracyjne, jak Kudowa, ale miała jeszcze to szczęście, że dostała burmistrza, jak się to mówi: „z prawdziwego zdarzenia”. Osadnicy więcej wyrażali się o nim, jak o troskliwym ojcu, dbałym o ich potrzeby, interweniującym osobiście w wypadkach niewłaściwego stosunku Niemców do przysyłanych do ich gospodarstw Polaków.

Nowa Ruda liczy wraz z wchodzącymi w jej skład gminami wiejskimi około 20 000 mieszkańców, w tym Polaków około 2000. Jak twierdzi burmistrz, jeszcze 5000 można by śmiało osadzić. Osadnicy więcej rekrutują się głównie z Żywieckiego i Nowosądeckiego. Gospodarstwa przeciętnie 12-hektarowe, ziemia średniej klasy, pszenica się udaje. Inwentarz żywy jest na miejscu, choć w mniejszej ilości niż przed wojną. Kwitnie tu hodowla bydła rasowego. Na terenie miasta jest punkt opieki Czerwonego Krzyża, szpital w polskim zarządzie, dwie stołówki: jedna dla urzędników miejskich, druga dla wszystkich przyjezdnych Polaków.

Mam jeszcze dwie godziny czasu, moje towarzyszyki siedzą na stacji jak zakłete, — choć chcę się im zrewanżować i przypilnować ich bagażu, — wybieram się więc do wsi Borowo, graniczącej bezpośrednio z miastem. Na skraju wsi spotykam dwóch mężczyzn o wiejskim wyglądzie, z białoczerwonymi wstążeczkami. Jak się okazuje, obaj z Żywieckiego. Pytam ich, czy są osadnikami. Nie, nie są. Przyjechali z tą myślą, ażeby się osiedlić, ale tu nie zostana, bo się im tu nie podoba. Najbardziej zadziwiająco jest jednak to, że nie podoba się im, ponieważ teren jest górzysty.

„Jak to, przecie u siebie w Żywieckim także macie góry?”

„Takie wysokie góry, to u nas jeszcze nie są?”

„To chyba nie taka wielka różnica — trochę większe, czy trochę mniejsze góry?”

„Ale my z gór, to chcemy teraz na równiny?”

Rozumiem. Ziemia równinna znacznie wygodniejsza do uprawy. A więc nie sentyment do znajomego krajobrazu, lecz względy praktyczne odgrywają rolę. Chodźcie więc sobie, górale-życzenie, po tej dziedzinie i przebierajcie w gospodarstwach, jak w ulegalkach. Taka okazja, jak teraz, trafia się już nie raz na sto, lecz raz na tysiąc lat. Mieście i wy, orzący dotąd kamieniste pola, przyjemność wybierania sobie nowych siedzib według własnej woli. Tylko pamiętajcie, żebyście nie przechytrzyli, żeby się wam nie zdarzyło to, co temu osiołkowi, któremu „w żłoby dano”.

Duża wieś Borowo jest już niemal w całości skolonizowana. Nie ma prawie domu,

z którego by nie powiewała biało-czerwona chorągiewka. I tu też Polacy są przydzielani do gospodarstw, w których jeszcze siedzą Niemcy. Nieraz wynikają z tego dość przykre sytuacje, bowiem zdarza się, że Niemcy traktują Polaków podobnie, jak przysyłanych im w czasie wojny robotników. Właśnie w takich wypadkach interweniował burmistrz, po czym sytuacja gruntownie się zmieniła.

I tu — podobnie jak we Fischbachu — osadnicy proszą o polskiego księdza, a także o nauczycielkę. Część z nich to jeszcze pozostawili w wysłanych na roboty do Niemiec, i ci uskarżają się, że dzieci już kilka lat polskiej szkoły nie widziały, chcieliby więc, żeby ten brak jak najprędzej im wynagrodzić.

Następne przesiadki: w Kamieńcu i Kłodzku idą już gładko, do Nysy dojeżdżamy w blaskach zachodzącego słońca. Sytuacja dość niewesoła, bo miasteczko spalane, stacja też zrujnowana, w poczekalni ani jednej ławki. W miarę, jak zmkrok zaczyna zapadać, robi się coraz bardziej ponuro i nieprzychylnie, światła nigdzie nie ma — nie darmo Nysę poprzedziła złowroga sława. Czekamy jednak na stacji, po pierwsze — ponieważ nie mamy innego wyjścia, a po drugie słyszymy jakieś tajemnicze szepty kilku pasażerów z kolejarem; domyślamy się z nich, że jeszcze dziś odejdzie do Katowic towarówka. Towarówka nie odchodzi, ale za to podstawią pociąg osobowy, który ma odejść jutro rano. W jednym z wagonów znowu spora grupa polskich żołnierzy i podoficerów o podhalańskim typie i dość nieoczekiwanym przy tym kresowym akcentem. Lokujemy się w tym wagonie, wśród nich czujemy się bezpiecznie. Istotnie noc przechodzi spokojnie, o świcie pociąg rusza.

W drodze mijają nas dwa pociągi z osiedleńcami: i w jednym i w drugim repatrianci z Buga. A w trzecim niespodzianka: sama młodzież. Wszystko to roześmiane, rozpiewane, w harcerskich mundurach. W jednych wagonach chłopcy, w innych dziewczęta. Dorożna, wysportowana młodzież tryska radością i zdrowiem. Wśród dziewcząt uderzająco dużo ładnych twarzy. „Dokąd jedziecie?” — wołam. Pociąg się szybko oddala, lecz wiatr przynosi ich słowa: „Do Jeleniej Góry!” Ach tak, więc to już ci harcerze, których przybycie sygnalizował mi w czasie pobytu w Jeleniej Górze tamtejszy starosta, mówiąc, że zamierza sprowadzić harcerzy jako najbardziej dodatni element: częściowo na pobyt wakacyjny, częściowo nawet* zatrudnić ich przy pracach leśnych. A więc: „Szczęść Boże!” Miło jest, gdy się widzi, że od pomysłu do wykonania droga jest tak niedaleka.

Pociąg mknie szybko, jakby chcąc nam wynagrodzić dwudniową jazdę na odcinku: Jelenia Góra—Nysa. Tym razem już bez przeszkód dojeżdżamy do Katowic.

WNIOSKI

Niby egzotyczna opowieść o ziemi, w której wszystko jest do zdobycia, lub film oparty na ostrych kontrastach światła i cienia, przesuwa mi się przed oczyma raz jeszcze dwutygodniowa podróży po Dolnym Śląsku.

Myszę o tym, co przedtem słyszałam, zestawiam to z tym, co sama zobaczyłam, przywołuję na pamięć te upomnienia przed wyjazdem: „Tylko napisz prawdę!” — i stąd wysnuwa się ostateczny wniosek. Zniszczenia i zaniechania? Prawda — są. Trudności komunikacyjne? — także są. Niedociągnięcia administracyjne, nieuregulowane stosunki narodowościowe, niedostateczne rozgraniczenie kompetencji różnych władz cywilnych i wojskowych? I to także jest. Lecz to wszystko, to są rzeczy tak bardzo niewspółmierne w stosunku do otwierających się na tych ziemiach możliwości, jakie wprost nieuniknione trudności przejściowego okresu, że aż dziwne się wydaje, że są ludzie, którzy w tym mogą upatrywać poważną przeszkodę w wyjeździe na zachód.

Jest rzeczą wręcz niepojętą, że naród, który tyle przeszedł w ciągu przeszło pięcioletniej okupacji i który wówczas wykazał tak zadziwiająco odporność, obecnie, gdy w wyniku wojny zdobył na zachodzie tak bogate ziemie, zamiast rzucić się na te ziemie masowo, objąć je w posiadanie i zagospodarować, wyszukuje sobie takie problemy, jak to, że w Lignicy jest brudno, a w Katowicach do Jeleniej Góry trzeba jechać aż dwa dni. A choćby nawet dwa tygodnie — to cóż to znaczy dla człowieka, który wyjeżdża tam z zamiarem osiedlenia się na stałe? Jak długo musieli jechać Angielscy pionierzy, gdy wyruszyli za ocean z zamiarem założenia tam nowej Anglii? A ile lat trzeba pracować, ażeby sobie umebłować mieszkanie? Jedna z osadniczek skarżyła mi się, że dostali pokój, w którym nie ma pieca. Bezrolni, wywiezieni na roboty do Niemiec; obecnie przydzielono im gospodarstwo o powierzchni 10 hektarów, z siedmioma krowami. Ale to wszystko nic wobec tego, że w pokoju nie ma pieca. To jest właśnie ten gzyms chlewika, który według słów Żeromskiego zastania góry. Inna znowu jest niezadowolona, bo wprowadził dom dostali ładny, „ale żeby pani wiedziała, jakie inni mają domy!” W powrotnej drodze spotkałam piekarza, który wracał bardzo rozgorączony, gdyż całe trzy dni stracił i nie udało mu się uzyskać w Wałbrzychu piekarni. „Jak to, to pan chce zdobyć warsztat pracy, który ma panu służyć przez lata, i uważa pan, że nie warto na to więcej niż trzy dni poświęcić?”

Powie mi może ktoś, że byli i tacy, którzy nie trzy dni, lecz znacznie więcej czasu poświęcili i też nic nie wskórali. Gdyż urzędnicy, od których przydział przedsiębiorstw zależy, uważają stanowisko państwowe za swoją prywatną imprezę dochodową i oczekują od petenta w zamian za przydział lokalu, czy mieszkania, odpowiedniego „rewanżu” gotówką. A inni znowu uważają, że przydział winny następować według partyjnego klucza. Nie zaprzeczę. Są i takie wypadki. I to może zniechęcać. Lecz człowiekowi, który walczy o swoją przyszłość, nie wolno się zniechęcać. Kto jedzie na ziemię zachodnią z dokumentem przesiedlenia, kto ma odpowiednie kwalifikacje do objęcia danego przedsiębiorstwa, lokalu czy też jakiegokolwiek innej placówki, niech głośno upomina się o swe prawa, gdy mu ich odmawiają. A gdy widzi, że coś nie jest w porządku, niech protestuje, niech zawiadomi o tym kogo należy, niech się domaga wyciągnięcia konsekwencji. Niech się nie boi „narazić”.

Jeśli na zachodzie nie wszystko dobrze się dzieje — to czyja to wina? Czy tylko czynników oficjalnych? Nie, to jest nasza wspólna wina. Wina tych wszystkich, którzy nie mają w kraju co robić, a jednak na wezwanie do współpracy się nie zgłosili.

Sprawa zmontowania na ziemiach zachodnich aparatu urzędniczego była sprawą palącą. Nie można było z tym zwlekać, wyszukiwać miesiącami odpowiednich ludzi. Trzeba

JÓZEF REISS

Sprawa Mikołaja Gomółki

Wacław z Szamotuł, Marcin ze Lwowa czyli Leopolda i Mikołaj Gomółka stanowią trójcę klasyków w muzyce polskiej złotego wieku. Po M. Gomółce pozostało tylko jedno jedyne, dotąd znane, natchnione arcydzieło: 4-o głosowe „Melodie na psalterz polski przekładania Jana Kochanowskiego”, wydane w Krakowie, w drukarni Łazarza Andrysowicza w r. 1580, a więc niemal równocześnie z epokowym przekładem psalmów J. Kochanowskiego.

Nad życiem i twórczością Mikołaja Gomółki zawisło dziwne fatum: przez długi czas poza nazwiskiem Gomółki i tytułem jego arcydzieła nie znano żadnych szczegółów o jego życiu. Pierwszą konkretną wiadomość o nim podał Stanisław Przyłęcki przed stu przeszło laty, odkrywając w Jazłowcu koło Buczacza nagrobek, na którym widnieje napis, głoszący, że Gomółka urodził się w Krakowie, a umarł w Jazłowcu jako kapelmistrz na dworze Hieronima Jazłowieckiego w r. 1609 dnia 5 marca licząc lat 45; a zatem urodził się w r. 1564.

Poza tym nic więcej aż do końca XIX wieku o Gomółce nie wiadomo. Dopiero znany bibliograf K. Wenda i Ernest Świeżawski wydobyli kilka szczegółów z rachunków dworskich Zygmunta Augusta i stwierdzili, że już w r. 1545 wychowywał się M. Gomółka jako muzyk w kapeli królewskiej; trafnie też przypuszczają E. Świeżawski, że datę urodzenia Gomółki trzeba przesunąć co najmniej na rok 1535. Za wskazówką Świeżawskiego poszedł Aleksander Poliński i z „Księgi stołu” królewskiego ogłosił kilka nowych pozycji, według których „puer Nic. Gomółka” przebywał w kapeli Zygmunta Augusta w Krakowie i w Wilnie.

Nie znamy wprawdzie dotąd dokładnej daty urodzin Gomółki, ale na podstawie przytoczonych tu źródeł historycznych, wydanych później w należyty sposób metodyczny przez Adama Chmiela i Stanisława Tomkowicza, ustalono przynajmniej, że Gomółka nie urodził się w r. 1564 i nie napisał w 16-tych roku życia swych „Melodii” do psalterza Kochanowskiego, jak to wynikało z napisu na nagrobku.

Mylne okazało się również mniemanie, że M. Gomółka pochodził z Krakowa; nowsze poszukiwania, które przeprowadzili Aleksander Patkowski z Warszawy i Roman Kosela w związku z swymi pracami historycznymi o Sandomierzu, stwierdziły, że rodzina Gomółki osiadła w Sandomierzu i że tutaj niewątpliwie urodził się Gomółka. Nie dziw, że jako Sandomierzanie pozostawał on w bliskich stosunkach z Janem Kochanowskim. Z rachunków dworskich wiedzieliśmy, że do r. 1563 był Gomółka nadwornym muzykiem Zygmunta Augusta; po tym roku ginie wszelki ślad po nim. Dopiero napis na nagrobku w Jazłowcu przyniósł wiadomość o roku śmierci Gomółki.

Tak przedstawiała się „sprawa Gomółki” do ostatnich czasów; intrygujące zagadnienie, związane z biografią jednego z naszych największych kompozytorów, stanęło nagle w nowym świetle; przybyły nowe szczegóły i materiały biograficzne, które stwierdzają, że Gomółka nie umarł w Jazłowcu w r. 1609 i nigdy tam nie przebywał; nagrobek bowiem wystawiono tam jego synowi Michałowi, o którym dotąd historycy muzyki nic nie wiedzieli. Skąd ta wiadomość? Opiera się ona na nowych notatkach źródłowych, które Bohdan Horodyski wypisał z rachunków dworskich kucharza Jana Zamoyskiego i ogłosił je w roku 1939 na kilka miesięcy przed wojną. Wynika z nich, że ostatnie lata życia spędził

było brać taki element, jaki był pod ręką. Teraz aparat administracyjny jest już wszędzie od góry do dołu zmontowany. I to jest bardzo wiele. A jeśli ten aparat często nie jest taki, jakim pragnęlibyśmy go widzieć, to też jest nasza wspólna wina. Jeśli jesteśmy uczciwi, lepiej fachowo przygotowani, jeśli mamy przeświadczenie, że potrafilibyśmy to zrobić lepiej, a mimo to trzymamy się na uboczu, to też ponosimy część winy — kto wie, czy nie większą niż ci, co są tam na miejscu.

Ziemie zachodnie nie są już ani puste, ani też wyłącznie przez Niemców zamieszkałe. Są tam już dziesiątki i setki tysięcy naszych rodaków, tych którzy przyszli pierwsi i mieli do pokonania największe trudności, którzy czekają, by im pomóc i wspólnym wysiłkiem budować na tych ziemiach lepszą przyszłość. A sprawa jest warta trudu — nie tylko z ogólnopolskiego, lecz i z naszego osobistego punktu widzenia. Takich możliwości, jakie istnieją na zachodzie, nie znajdziemy na pewno na przeludnionych ziemiach Polski centralnej. Z jednym wszakże warunkiem: że nie pozwolimy naszej energii opadać pod wpływem pierwszej napotkanej przeciwności.

Jest to bowiem nasza narodowa tragedia, że umieliśmy dawać krew, którą zawsze hojnie szafowali inni, lecz nie chcieliśmy dawać naszego potu. A tylko z potu rodzi się trwały plon.

Eugenia Kocwa

Przekłady z węgierskiego

Grupa literatów polskich, która podczas wojny znalazła się na Węgrzech, z wielkim zapałem przystąpiła do odkrywania i udośćniania mało znanej u nas literatury węgierskiej dla polskich czytelników. Nauczenie się trudnego języka nie było rzeczą łatwą — jednak zapał przemołił wszystkie trudności, że pod koniec uchochodstwa było już kilku „literackich magarów”, którzy z wielkim entuzjazmem dokonywali przekładów z literatury węgierskiej. Do tej pory w przekładach węgierskich autorów postępowano się przeważnie tłumaczeniami z niemieckiego, dlatego praca tej małej grupy ludzi ma podwójne znaczenie: udośćniła niektóre bardzo cenne dzieła węgierskie i stworzyła podstawy pod dalszą działalność na polu tłumaczeń z węgierskiego.

Z literatury węgierskiej znani u nas byli autorzy, którzy przeszli do literatury powszechnej — a więc: Jokay z obryzmia liczbą sześćdziesięciu kilku tłumaczeń, Herczeg i Molnar, nieśmiertelny autor „Chłopców z placu broni”. Ze wspomnianych natomiast Körmendi, Földös i Zilahy i może kilku dramaturgów i komediopisarzy. To proza. Z poezją natomiast było gorzej. Przeciwnie Polak znał prawdopodobnie jedno tylko nazwisko wielkiego bohatera i poety węgierskiego — Aleksandra Petőfię. Poza nim słyszał może coś niecoś o Arany, Vörösmarty, może o Adym, ale na ogół poezja węgierska mało była znana w Polsce. W tej dziedzinie więc podczas wojny poczyniono największe postępy.

Z wielkiej trójki Petőfi, Arany, Ady zaczęto najpierw tłumaczyć Petőfię. Niestety, sięgnięto tylko do nielicznych, najbardziej znanych utworów. T. Fangrat przełożył wiersz-manifest „Powstań Węgrze!” oraz „Jedną tylko myśl myśl mi trapi!”. A Bahdaj dwa piękne wiersze liryczne „Koniec września” i „Cisa”.

Nad Arany, znakomitym epikiem, zatrzymano się dłużej. L. Kaltenbergh przetłumaczył jego narodowy epos węgierski pt. „Toldi”, „Toldi” w literaturze węgierskiej odgrywa rolę naszego „Pana Tadeusza”, dlatego tłumaczenie Kaltenbergha uważać należy za duże osiągnięcie. Poza tym A. Bahdaj przełożył liczne ballady Arany’ego.

Najwięcej uwagi poświęcono jednak Ady’emu. Ady przez swą oryginalną, nową i głęboką poezję dał podwaliny pod współczesną poezję węgierską. Dokonał on przełomu w literaturze węgierskiej i pchnął ją na nowe tory. Przez żywy nurt społeczny, przez rewolucyjny krzyk przeciw zasklepieniu i przez odważne wystąpienie w obronie praw człowieka, złamał skostniałe zasady i stał się odżywym oddechem dla nowego pokolenia węgierskiego. Ady, mimo silne akcenty patriotyczne, jest najbardziej międzynarodowym poetą węgierskim i dlatego tak żywotowo pociąga cudzoziemców. Nie więc dziwnego, że polscy tłumacze poświęcili mu dużo czasu i nie zwracając uwagi na trudność tego języka tłumaczyli go stale. W Budapeszcie wydano dwa zbiory poezji Ady’ego w tłumaczeniu K. Hlakowiczówny i T. Fangrata.

Fangrat tłumaczył również A. Józsefa, poetę wyrostego na poezji Ady’ego, nieustraszonego bojownika proletariatu węgierskiego, z okresu międzywojennego. Tragiczna jego postać i życie zakończone samobójstwem odzwierciedla się w jego poezji nie szukającej kompromisów, będącej protestem przeciw paradyksom powojennych Węgier i hasłem do walki dla mas pracujących.

Z początkiem 1944 r. wydano w Budapeszcie zbiór poezji siedmiogrodzkiego poety L. Apriliego we wspólnym tłumaczeniu Hlakowiczówny, Vincenza i Bahdaj. Aprily jest współczesnym lirycznym par excellence. W wierszach swych maluje nastroj gorzki siedmiogrodzki i w subtelny sposób szkicuje osobiste wrażenia i refleksje.

Autorem niniejszej notki zajmował się tłumaczeniem węgierskiej poezji ludowej. Przełożył wiele pieśni ludowych i cały zbiór sekierskich ballad ludowych.

Prócz tych, zebranych w całość wydawnictwa, tłumaczono sporadycznie innych poetów jak np. M. Babitsa, D. Kosztolányi’ego, A. Tótha, L. Szabó, J. Podora, T. Mécsa, G. Ellyesa i innych. K. Hlakowiczówna w swej „tece siedmiogrodzkiej” przygotowywała antologię poetów siedmiogrodzkich. Jeżeli jeszcze weźmiemy pod uwagę nieopublikowane tłumaczenie Kaltenbergha najwybitniejszego węgierskiego dramatu „Tragedia człowieka” I. Modána — zobaczymy, że w niezbyt dogodnych warunkach okresu wojennego dokonano dużej pracy.

Z prozy przetłumaczono utwory mniej ważne, a pominięto najistotniejsze.

Antoni Brosz ułożył antologię współczesnej prozy węgierskiej. W ciekawie dobranych nowelach dał jasny przegląd najważniejszych współczesnych prozaików węgierskich (Babits, Kosztolányi, E. Móra, F. Herczeg, I. Gulaczy, L. Zilahy, S. Marai, Zs. Molnár, A. Tamási i in.). Praca ta opatrzona uwagami o poszczególnych pisarzach stanowi wartościową pozycję.

K. Hlakowiczówna przełożyła siedmiogrodzka trylogię „Abel w puszczy”, A. Tamási’ego. Jest to, w autobiograficznym stylu utrzymany dowcipny lecz dość banalny opis dzieł młodego pisarza w górach siedmiogrodzkich.

Dużym zainteresowaniem wśród Polaków w Budapeszcie cieszyła się powieść L. Zilahy’ego „Ciche życie” przełożona na język polski przez Zofię Bolle. Autor sięga do tematyki polskiej i opisuje życie polskiego żołnierza internowanego, zatrudnionego w węgierskiej leśniczynie. Z. Bolle oraz A. Bahdaj przełożyli również szereg nowel tego doskonałego pisarza węgierskiego znanego u nas z „Dwóch jenców”.

T. Fangrat sięgnął do zbioru nowel Gardony’ego „Moja wieś”, wreszcie autor niniejszej notki przetłumaczył cykl nowel znakomitego chłopkiego pisarza Zygmunta Mörice, którego na Węgrzech porównuje się do naszego Reymonta. Cykl nowel „Barbarzyńcy” realistycznie ujmują życie chłopstwa węgierskiego, puszki i borykanie się człowieka z naturą.

Tak więc przekłady Hlakowiczówny, Vincenza, Kaltenbergha, Fangrata, Brosza, Bolle i podpisanych stworzyły podstawy do pracy nad poznaniem literatury węgierskiej, a osiągnięcia tego rodzaju w przetłumaczeniu „Toldiego”, „Tragedii człowieka”, wierszy Ady’ego, ballad sekierskich i wydanie antologii współczesnych prozaików węgierskich wskazuje, że literaci polscy na Węgrzech nie marnowali czasu.

Adam Bahdaj

Kaprys losu sprawił, że nad twórczością Mikołaja Gomółki rozpełtała się u nas swego czasu polemika, odróżniająca brutalną formą i pełną inwektyw osobistych między uczestnikami tej polemiki. Jedną z przyczyn polemiki były liczne błędy drukarskie oryginalu z roku 1580; król czcionek jest wprawdzie bardzo piękny i pod względem typograficznym przedstawia się ten druk wyszły z pracowni syna Łazarzowego, Jana Januszkowskiego, wspaniale, gdyż opiera się na najlepszych wzorach holenderskich, ale niestety niemal każdy psalm roi się od błędów drukarskich, co utrudnia transkrypcję na nuty dzisiejsze i co przyczyniło się do mylnych wniosków o wartości „Psalterza” jako dzieła sztuki ze stanowiska techniki kompozytorskiej. Dalszy kaprys losu sprawił, że w nowym wydaniu „Melodii psalmowych” Gomółki, które pojawiło się w r. 1927 dzięki bezinteresownej pracy znanego drukarza krakowskiego, Romana Ferka, znalazły się jeszcze nowe błędy, niestety z powodu niedbałej korekty; zawinił ją autor niniejszego artykułu.

W OCZACH PISARZY

Ankieta „Odrodzenia”

Redakcja „Odrodzenia” zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana(i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniliby Pan(i) w sposób, jaki Pan(i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan(i) uzna za słuszny.

RZECZYWISTOŚĆ WOJENNA TRWA

Trudno mi jest odpowiedzieć na pierwsze pytanie ankiety: jaki jest mój stosunek do rzeczywistości wojennej? — i to z paru powodów. Nasamprzód dlatego, że przygotowuję większy szkic na ten temat, ściśle zresztą humanistyczne, z tą rzeczywistością związane; nie chcę tedy sam siebie okładać z pewnych pomysłów. Inny powód tkwi w sposobie sformułowania tego punktu ankiety: mianowicie sugeruje on pewien dystans między nami a rzeczywistością wojenną, dystans bardzo subtelny i nieuchwytny, wyrażony metaforą o „wyzwolonych oczach”.

Otóż ten dystans, to rzecz bardzo względna. Ja nie mam jeszcze tego dystansu. Według mnie rzeczywistość wojenna trwa nadal. Uświadomiłem sobie to jasno w czasie niedawnego pobytu w Krakowie. W czasie okupacji zaglądałem kilka razy do podwawelskiego grodu. Pusto tu było, ponuro i brudno. Pozabijane dyktą witraży robiły upiorne wrażenie jakiegoś zjednoczenia zakładów pogrzebowych. Bida aż śmierdziała od tych ogonków, w których gosposie niemieckie wystawały przed mleczarniami i sklepami jarzynowymi. Co za porównanie tych chudych, pochylonych dostojników i urzędników w okularach, co snuli się po wszystkich ulicach stolicy Generalnego Gubernatorstwa, z okazałymi pyskami i zdobytymi nadętymi minami deutchowskich warszawskich!

Mizeria krakowska rozciągała się nawet na osławioną dziedzinę łopówek. W Warszawie nie można było zrealizować żadnego oficjalnie otrzymanego przydziału surowców bez kolacji, pudła cygar itd. (Wojnę przeżyłem pracując w przedsiębiorstwie drzewno-budowlanym). Otóż ku memu, a zapewne i czytelnika, niemałemu zdziwieniu kupiliśmy raz w Krakowie w ciągu paru minut wagon papy bitumicznej, bo szef mój (który zresztą prawie nie mówił po niemiecku) w czasie gdy ja zacząłem rozwijać talenty krasomówcze, położył bezczelnie na biurku decydującej o transakcji Niemki mydełko toaletowe wartości 35 zł! Tego samego dnia, w innej centrali „dystrybucji materiałów” zapalniczka warszawska, kosztująca 40 zł., ułatwiła nam nabycie większej ilości „szkła płaskiego” (Flachglas)!

Z tych służbowych wyjazdów wyniosłem upokarzające uczucie, gdy stęsknionymi oczyma błądziłem po afiszach, zapowiadających a to koncert Kwartetu Drezdeńskiego, a to gościnny występ Filharmonii Lipskiej; raz nawet trafiłem na „Pasje według św. Mateusza” Jana Sebastiana Bacha. To wszystko nie było dla nas. Te skarby były zazdrośnie zastrzeżone dla członków narodu zwycięzców.

Obecnie Kraków — quantum mutatus ab illo! Szumi, pulsuje, bryluje. Bez paru setek nie przystępuj do byle straganu, nie wchodź do kawiarni bez pięćsetki! Na wystawach piramid daktyli, baszły całe prawdziwej kawy, paki herbaty, czekolada, winogrona! A co za wdolny sławne, krakowskie, debickie, liście, myśliwskie, turystyczne! Wspaniałe kawiarnie, wytworne dancingi, luksusowe restauracje. Kwitnie życie artystyczne: ile teatrów, koncertów, opera! Capua! Nie mam pretensji do psstrągów i kawioru, wdolny są latem zasadniczo niepewne, kawa jak wiadomo szkodzi na serce, herbata dezorganizuje życie towarzyskie, bo osłabia zainteresowanie pięcią piękną, czekolada psuje zęby, daktyle są obrzydliwie mdłe, a winogrona, zapewne z powodu przeokropnego lata, jakże były zielone! Miałbym wszakże ochotę być na operze. Bilety rozsprzedane. Są przecież poza kasą, proponowano mi, mogłem dostać, kiepskie zresztą miejsce za jakieś głupie 200 lub 300 zł.

Więc jednakże rzeczywistość wojenna trwa. Poza nową pianą zjawisk, niby poza Mają hinduską, ciągle to samo przerażające podłoże bytu — Forsa! W dalszym ciągu panuje podział na wybrańców i pariasów, zupełnie taki sam, jak w czasie wojny i jak przed wojną. Jakaś wroga siła ciągle spycha nas na

marginie życia. Stoję dziś przed tym samym kioskiem z afiszami i patrzę „wyzwolonymi oczami” tak samo smętnie i platonicznie na zapowiedzi koncertów i przedstawień, jak patrzyłem wczoraj oczami niewolnika, jak patrzyły przedwczoraj dość liczne rzesze obywateli naszego państwa. Udał się kolegom ten pomysł z „wyzwolonymi oczami”, nie ma co mówić! Co do mnie, to uroczyste protestuję przeciw supremacji tego najbardziej uduchowionego i wprost idealistycznego zmysłu w nowej rzeczywistości polskiej. Trochę więcej zbawczego materializmu, przyjaciele! Odrobinę więcej „dotyku” i „smaku”!

Zart na bok. Dla mnie wojenna rzeczywistość trwa nadal może dlatego, że z obowiązku i z przyzwyczajenia krytyka ujmuję nieco szerszej tej rzeczywistości. Bo ostatecznie było to coś więcej, niż terror. Był to prawdziwie totalny koszmar; koszmar ogarniający wszystkie dziedziny życia; system dezorganizujący nasz ustrój polityczny, gospodarczy, narodowy i kulturalny, a nie tylko — nerwowy. Prawo bezwładnie nie zostało cudownie zawieszane przez sam fakt wyrzucenia okupanta lub przez uroczystą strzelaninę na zajęcia Berlina. Potworna siła wojny wprawiająca przez tyle lat w ruch kontynenty, oceany i przestworza niebieskie przestała nagle działać, ale świat idzie jeszcze nadanym sobie rozmachem na mocy prawa bezwładności. Prawo to odczuwać będziemy zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak obyczajowej i kulturalnej. Już Stary Testament znał tę dialektykę, kiedy mówił o synach, którym ścierpiły zęby, ponieważ ojcowie ich jedli niedojrzałe jabłka, czy jagody. A przecież myśmy pożywali przez całe sześć lat zatrute owoce wojny.

Rzeczywistość wojenna trwać będzie jeszcze długo. Nie ludźmy się. Nikt nie wierzył przed wojną w możliwość zgodnego współżycia narodów. Istnienie tego głębokiego solidaryzmu udowodniły nam dopiero takie negatywne fakty, jak zbiorową odpowiedzialność ludzkości za zbrodnię wojny. Jakby w myśl nieubłaganej, mistycznej biologii biblijnej za paroletnie obżeranie się garstki fanatyków i maniaków owocami i płodami całej Europy, dzieła naszego kontynentu nie będą na razie jałdy bułek, piły uczciwego mleka ani wyjeżdżały na wieś. Za niepotrzebne zdzieranie milionów zelówek i bezcelowe niszczenie milionów ubrań, wraz z mało znaczącym dodatkiem żołnierskich ciał, długo jeszcze będziemy doznaszać naszą przedwojenną odzież. Za intensywną produkcję benzyny syntetycznej i niebawem ożywienie ciężkiego przemysłu odpokutujemy w najbliższe zimy marznąć w naszych przeludnionych mieszkaniach. Solidarność, wszyscy — zwycięzcy i pokonani, kombatanci i neutralni. Za rozrzućność śmierci, za szafowanie zgonem, za wymieranie nad stan — życie się obecnie będzie musiało kurczyć i ścieśniać.

Doświadczanie historii mówi, że podboje barbarzyńców są nietrwałe. Alfred Rosenberg w swoim „Micie XX stulecia” wypisał wyrok śmierci na hitlerowskie Niemcy na długo przed wojną, wykazując na dziesiątkach stron i przykładów, że wszyscy nordyccy zaborcy schodzili w końcu na psy, bo wydawali niestrużenie energię wtedy, gdy rasy nieambitne i upośledzone oszczędzały siły biologiczne, co w przeciagu tysięcy nieuchronnie skazywało cenną krew różnych wargów i normanów na rozpylenie się w pogardzanej limfie ras niższych, żyjących spokojnie i pracujących w pocie czoła na chleb codzienny. W tym się nie mylił Rosenberg. Barbarzyńcy znikają z areny dziejowych tak samo szybko, jak nagle się pojawiają. Barbarzyństwo jednak trwa potem długo. Nad ludzkością zapadają wówczas upiorne, polarne noce ciemnoty i zdziwienia.

W stwierdzeniu tego faktu zawarta jest pośrednio moja odpowiedź na drugi punkt ankiety: jaki wpływ ta rzeczywistość wywarła na moje zainteresowania i zamierzenia piarskie na przyszłość? Sądzę, że przed każdym pisarzem staje dziś obowiązek obrachunku; rewizji podstaw naszego życia kulturalnego i wyłączenia wszystkich sił, w celu opanowania nieuchronnego kryzysu intelektualnego i moralnego w dobie powojennej. Objawy jego nie dadzą długo czekać na siebie. Co do moich zainteresowań osobistych, to pasjonuje mnie od początku wojny epoka upadku Rzeczypospolitej Polskiej — niewątpliwie następstwo naszej katastrofy państwowej. Naczytałem się polityków i publicystów. Rozkoszowałem się Słazicem i Kołłątajem.

Weźmy pismo Kołłątaja „Do Prześwietnej Deputacji dla ułożenia projektu Konstytucji rządu polskiego od sejm uznaczonyj”. Tytuł jak glista, której nie można wyciągnąć z ziemi, ale ile tam świeżych myśli: „Nędza ludzi rośnie w stosunku do ich niewoli; Rzeczypospolita nie cierpi panowania szczególnego ludzi; w monarchii jest tylko jeden panujący, lecz w arystokracji feudalnej każdy prawie chłop ma osobnego despotę. Jakiegoż u nas pragniemy rządu? chcemy prawdziwej Rzeczypospolitej czy możnowładztwa? chcemy Polszcze wrozić wolność, czy tylko niektórym familiom, nad resztą niewolników panują-

ym?” Zastąpmy wyraz „chłop” przez obywatel, a wyraz „familia” przez dobrze nam znany system koncernów, warstw uprzywilejowanych, stronnictw rządzących i monopartii, a zobaczymy, że obraz Polski, która za czasów Kołłątaja stała na wielkim zakrebie dziejowym, dość dobrze odpowiada sytuacji, w której postawił nas finał wojny. Gospodarka przedwojenna prowadziła do uwstępniania procesów ekonomiczno-społecznych, wytwarzała wszelkiego typu nowoczesne „arystokracje feudalne” od jakiejś miliarderskiej rodziny amerykańskiej, panującej miłościwie i w zakresie światowym nad szmalcem, do różnych europejskich systemów faszystowskich, przywłaszczających sobie „rząd dusz” nad milionowymi rzeszami niewolników.

Różnica między naszymi czasami a Kołłątajem jest ta, że musiał on poprzestać na analizie niewoli, nas zaś czekają zagadnienia pozytywne: jak budować wolność, czyli podstawę dobrobytu warstw pracujących i twórczych.

Najbardziej prywatny jest punkt trzeci: twórczość pisarska w czasie wojny; pozwolę sobie zatem odpowiedzieć nań ogólnie i pokrótce. Wybuch wojny uprzędził zaledwie o parę miesięcy druk moich dwu książek: roz-

Wspomnienie z Nagłowic

Co pewien czas ogarnia kogoś nerwica przestąpienia. Śmiałek drząc w obawie przed nowymi warunkami, pakuje przez kilka miesięcy walizę, zasięga raz po raz języka, wreszcie rzuca się w drogę i wraca objucony tęgą ilością trofeów.

Nerwica przestrzeni ma u ludzi pióra zgoła inny przebieg.

Ludzie pióra naprzód spoglądają na siebie krytycznie, wyrażają się o swej konkurencji drwiąco, potem w bardzo wykwintnych słowach poczynają podnosić wartość zagranicznej literatury, wreszcie pewnego dnia znowu kogoś brak przy talerzach.

Po kilku dniach wraca śmiałek z eskapady. Pełno wtedy spostrzeżeń, radości, pełno nowin i krzyku.

Ten i ów, wymachując gorączkowo rękami, pyta o kolor Odry i Nysy, tamta, notując śpiesznie swe myśli, pyta o Jana z Oliwy, inna wynosi pod niebiosa przeszłe przeżycia z Jeleniej Góry, — i tak czas leci jak nitki babiego lata.

Nerwica urzędnika jest tylko częściowo chorobą. Jest ona cierpieniem na urząd. Znajdą to cierpienie komiwojażerzy, lustratorzy, konwojenci. Nie jest ono obecne urzędowym ratąjom.

Jedną z moich ostatnich podróży była przedsięwzięciem nieokreślonym. Spełniałem powinności nie wchodzące jasno w zakres wyliczonych kategorii.

Jednak czynności konwojenta tak przeważały nad innymi, iż cierpienia rataja nie zostały mi tym razem udostępnione.

Skład auta, tak wyborny, wykluczył nawet platoniczne okoliczności.

Podróż ta miała na celu osiągnięcie pewnej sławnej wsi, stanowiącej sferę wpływu Związku Literatów, i ten cel nadawał podróży bardziej patetyczne brzmienie.

Słynna to wieś. Właściciel jej, ongiś sławny preceptor szlacheckiej Polonii, znany jest i naszym czasom. On to u progu swej kariery wolał pociąć kityjkę na paski i bawić się puszczaniem wron, niż czytać uczone historie pływającego Uliksesa, brojącej Helenki, czy cnotliwej Penelopy. Potem się jednak ustatkował, porósł w tłuszcz i począł chwalić stateczność wiejskiego życia.

Podróż odbywałem jako animal sociale.

Nie śmiem czytelników zanudzać szczegółami podróży, zbyt dobrze znają je pasażerowie kończący podróże w szpitalach, wspomnieć jednak wypada, iż nasza landara, stanowiąca pośredni typ pomiędzy magistrackimi śmieciarkami a wyścigówkami propagandy, siadała nieraz na gumach.

Działo się to jednak pod ciężarem dostojności. Autem tym jechała bowiem połowa naszej myślącej literatury.

Dojechaliśmy wszakże bez pomocy prywatnej inicjatywy.

Nagłowice położone są w okolicy lesistej, hej. Ośrodek posiada 10 ha ziemi ornej, 2 ha łąki, staw rybny, piękny park, ogród warzywny. Niegdyś włość ta należała do Michała Radziwiłła, a jeszcze dawniej, jak wspominałem, należała do włości autora „Krótkiej rozprawy między panem, wójtem i plebanem”.

Tutaj to, jak się okazało po naszej podróży, tutaj Mikołaj Okszy Nagłowicki dumał nad sprawami świata tego.

Tutaj dumał, jak przepióreczkę ugonić, tutaj dumał, jak gęś jabłuskami nadziać, tutaj głowił się, jak owoce przez durszlak przetrzeć, aby nie „wszystko głąby gryźć, jako świnią”, tutaj przemyślał nad tym, jak rydzików nasolić, jako to kapuśki nadobnej, na polę główki przekrawając, ewikiełką i koprzykiem przelożyć i tutaj popatrywał sobie na pokrzykujące przy żniwach dziewczeczki. Często psioczył na karbowych, aby nie kołatali biczami po grzbiętach ludności niewolnej, jak to było w zwyczajach u okolicznych majatkach, często powoływał się w tej sprawie na ewangelię.

Tutaj jadając cietrzewia w rosółku a ku-

prawy doktorskiej z pogranicza literatury, kultury i obyczajowości polskiego średniowiecza oraz tomu studiów literackich. Nie żałuję tego, bo pracę doktorską zamierzam uzupełnić nowymi materiałami, tom studiów literackich wzbogacić się tymczasem nowymi szkicami. W ten jednak sposób będą obchodził w przyszłym roku 15-lecie pracy krytycznej i naukowej — bez jednej książki drukowanej! Na pociechę mogą sobie powiedzieć, że ocalały mi rękopisy, biblioteka i materiały naukowe.

W czasie wojny pracowałem dorywczo nad różnymi, dawniej pozaczynanymi rozprawami i studiami historyczno-literackimi, tak iż obecnie mam w łęczkach materiał lekko licząc na dziesięć ksiązek: czeka Kochanowski, A-snyk, Świętochowski i Dygasiński, a z nowszych Tuwim i Iwaszkiewicz. W ostatnim roku wojennym napisałem studium, w którym starałem się zrewidować poglądy estetyczne Brzozowskiego (wynik negatywny). Przed paru zaś dniami skończyłem pracę o „Dziadach Drezdeńskich” (znowu rewizja). Najbliższe lata zamierzam poświęcić różnym tematom Mickiewiczowskim oraz XVIII wiekowi; rzecz prosta, o ile warunki pozwolą na pracę naukową.

Wacław Kubacki

ropatwiczkę, dobrze ocetkiem przekropioną, wspominał ciężkie paskwilusy, jakie wytaczał przeciw ówczesnym formalistom. Przeciw „powróźnikom, saccnikom, workownikom, owym maskarnikom komedijy rzymskiej, co świątynie Pańską plugawym fałszem brudzą”.

Na pewno, schlany taczał się nieraz pod lipami, kładł szpetnie, grubo, a wywijął pięściami groźnie.

„Spójrzyjże — mówi — spójrzyj, jeśli jest nędzniejsze, a niedbalsze państwo, jako jest to sławne a tak zacne królestwo polskie? Zaden naród, żadna horda, a snadź i cygańska, nie jest w takiej niedbałości, a snadź w lepszym opatrzeniu, niżli to tak sławne a zacne państwo nasze”.

I wyzłościwszy się, dalej za psy! dalej za krogulca! Wypadnie zajączek, azaż jest nie rozkosz poszczuć? Wypadnie kuropatwiczką, azaż to nie pięknie rozsiadem ją przykryć? Ano się od tego dobra krew mnoży, ano się jeść chce, ano znowu trzeba za pżyjaciół.

I dalej do stołu, przy którym znowu: ano śliweczki z pierwszego szczepienia, ano wiśnieczki, ogóreczki, malunczki, ano rosółek nadobny ziołki pięknie pachnący, ano grzańczki w rozkosznym piwie miasto karasków pływające.

W kuchni pieczenia wieprzowa dopieka, w kuchni gołębiątko na ukropek czeka, w ogródku fletniczki z puzany krzyczą, — a dobry, ubogi łudek przeciera ząbkami, czarną kaszę, chwali Pana, bo „Pan Bóg wszystkiego dosyć”.

Nie pozostał ani ślad po pałacu Reya, pana na Okszy i Nagłowicach.

Kiedyś, kiedyś, tak głosi wieść gminna, odkopano posiadki i fundament pałacu. Obecnie rosną na tym miejscu ziemniaki.

Otażają je parkowe drzewa, wśród których bardzo piękne są: jeden perukowiec i jedna, bardzo płacząca wierzb. Naprzeciw niej leży jeszcze bomba z napisem: 250 kg. Bomba ta, wbita w piaszczystą ziemię, wnosi w atmosferę parku element powagi wobec życia.

W pałacu też są takie dwa pociski z napisami.

W odległości dwustu metrów od głównego kompleksu budynków jest tych bomb więcej. Kilka wagonów. W całym Kieleckim nie uprzątnięto jeszcze z lasów tych bomb. Dzielnicy saperzy kieleccy nie znaleźli jeszcze czasu. Miejscowa milicja też zdaje się nie jest uprawniona.

Tylko dzieci znajdują dość wolnego czasu, aby wykrecać zapalniki. Spełniają swe zadania z poświęceniem graniczącym nieraz ze śmiercią. Dzielnicy dzieci, dobre dzieci.

W Nagłowicach Niemcy mieli swe lotnisko bojowe. Mieszkali w pałacu nowym. Zrazu zamierzali wysadzić swe miejsce zamieszkania, ale wypadki zachodzące z błyskawiczną szybkością nie pozwoliły im na to.

Pozostawili w roztrągnięciu kilka samolotów. Trupy maszyn można znaleźć na polance.

Na jednym z samolotów ktoś dowcipny napisał „WH czyli Własność Hitlera”.

Zygmunt Figa

W NAJBLIŻSZYCH DNIACH UKAŻE SIĘ

REPORTAŻ

ZOFII DRÓŻDZ I WŁ. MILCZARKA

**ZAKOCHANI
W POMORZU**

STRON 40

Zł 12

ILUSTR. 37



SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIA”

¹⁾ Por. odpowiedzi Z. Bieńkowskiego, H. Boguszewskiej, K. Brandysa, T. Brezy, J. Brzostowskiej, K. Czachowskiego, T. Czyżewskiego, H. M. Dąbrowolnej, St. Flukowskiego, P. Hulki-Laskowskiego, M. Jastruna, J. Kornackiego, T. Kudlińskiego, J. Kurka, J. Kydryńskiego, H. Malewskiej, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego, St. Podhorskiej-Okolów, J. Przybosia, H. Wielewskiej, E. Szelburg-Zarembiny, J. Zawiejskiego i J. Zagórskiego w nr nr 13—28, 30—33, 35—36 oraz w nr nr 38—39 „Odrodzenia”.

PO PROSTU

Spisek milczenia

Nadchodzą coraz częściej francuskie pisma literackie przynoszą spisy pisarzy, oskarżonych o współpracę z Niemcami i szerzenie doktryn faszystowskich. Obok wyroków sądu i uchał, wykluczających zdrajców ze związków i stowarzyszeń literackich, każdy niemal numer pisma przynosi obszerne artykuły o roli, jaką odegrali pisarze w Ruchu Oporu, od organizowania życia podziemnego umysłowego po czynny i bezpośredni udział w walce zbrojnej. Jest jakaś szlachetna namienność narodu, który spośród wszystkich innych najbardziej ceni literaturę, w niecierpliwym i bezwzględny żądaniu rachunku z zachowania się pisarzy w latach klęski. Łamy pism przypominają niejednokrotnie akta publicznego procesu, wytoczonego zdrajcy i bohaterstwa. Po lekturze prasy francuskiej tym mocniej uderza głuche milczenie u nas, w którym utonęły nazwiska i czyny tych pisarzy, którzy zginęli, którzy walczyli i którzy zdradzili.

Rok temu, w pierwszym, jeszcze lubelskim numerze „Odrodzenia”, umieszczona została niepełna i prowizoryczna lista pisarzy, którzy zmarli lub zostali zamordowani w czasie okupacji. Lista ta dotąd nie została uzupełniona. Lista strat kultury polskiej, którą Bolesław Olszewicz ogłasza obecnie w „Tygodniku Powszechnym”, nie może wystarczyć. Śmierć stukilkudziesięciu pisarzy w ciągu sześciu lat wojny żąda pamięci.

Piękna inicjatywa Czesława Miłosza, aby wydać księgę poświęconą zmarłym pisarzom, nie została podjęta. Na wystawie „Warszawa oskarża” postawione tablice, na których wypisano nazwiska zmarłych w czasie wojny bibliotekarzy, historyków sztuki i archiwistów. W Warszawie, która stała się masowym grobem tak wielu pisarzy, powinna już dziś stać prowizoryczna tablica, oddająca hołd poetom i powieściopisarzom, którzy walczyli i zginęli. Tymczasem wśród setek artykułów, poświęconych rocznicy powstania, ani jeden nie wspomina nazwisk poetów: Krzysztofa Baczyńskiego, Tadeusza Gajcy (Karola Topornickiego) i Juliusza Krzyżewskiego. Za ich śmierć, niepotrzebną i tragiczną, nie mniej niż za gruz miasta, odpowiadają wodzowie. W powstaniu wzięli udział z bronią w rękę nie tylko najmłodsi poeci. W obronie Starego Miasta zginął powieściopisarz, publicysta i krytyk, Włodzimierz Pietrzak. Należał do innego, niż ja, stronnictwa politycznego. Nie wiem, czy dziś należałby do moich przyjaciół czy wrogów. Wiem, że zginął w walce z Niemcami i że nazwisko jego raz jeden zostało w ciągu roku wymienione w prasie i to mimochodem, z okazji żartu, jaki kiedyś powiedział.

Pisarze walczyli i ginęli nie tylko w powstaniu. Dowiedzieliśmy się przypadkiem, że Jan Mosdorf zameczony został w Oświęcimiu, jako członek komitetu obozowej lewicy. Rozstrzelany został Stanisław Piasecki za wydawanie jednego z pierwszych pism nielegalnych w Warszawie. Zginął Ignacy Fik za działalność wojskową, Halina Górską i Henryk Dembiński za działalność polityczną. To zaledwie parę spośród stu kilkudziesięciu nazwisk. Ginęli pisarze lewicy i prawicy. Większość z nich wiedziała dobrze za co ginie. I nie jest obojętne dla historii polskiej literatury za co zginęło stu kilkudziesięciu pisarzy.

Odbił się obecnie w Warszawie zjazd członków organizacji niepodległościowych. Zjazd ten powinien wreszcie przerwać spisek szelęnego milczenia, w którym zapadła się działalność zmarłych i żywych pisarzy. Zaiste bowiem pilny czytelnik naszej prasy więcej wie o ucieczkach z niewoli i akcjach zbrojnych, jakim kierował Andrzej Malraux, o organizowaniu kolportażu prasy nielegalnej przez Eluarda, o zakładaniu tajnego komitetu pisarzy przez Martin du Gard, niż o działalności politycznej, wojskowej i propagandowej pisarzy współczesnej Polski. W odpowiedziach na ankietę „Odrodzenia” czytamy ciągle o znaczeniu postawy moralnej pisarza. Czynny i masowy udział pisarzy w walce o niepodległość i demokrację jest kapitałem moralnym polskiej literatury, którego nie wolno zmarnować i zaprzepaścić. Lata okupacji były okresem próby: próby charakterów, próby zasad, próby poglądów. O postawie pisarza nie świadczą demokratyczne deklaracje, ale to, jakim był i co robił w ciągu sześciu lat wojny.

Miejmy odwagę przyznać, że nie z fałszywego wstydu i skromności milczy się o działalności pisarzy, którzy brali udział w akcjach dywersyjnych, w partyzantce, w redagowaniu nielegalnej prasy, którzy organizowali opór lub z domów swoich, jak Zofia Kossak-Szczuczka, uczynili stały przytułek dla wszystkich, zmuszonych do ukrywania się przed gestapo. Milczy się ze względów taktycznych, milczy się, aby nie dotykać spraw drażliwych, milczy się, aby zamazywać różnicę przekonań, aby utrzymać fikcję, która runie przy pierwszej próbie.

Milczy się o działalności pisarzy za czasów okupacji, milczy się o żywych i umarłych, aby móc dalej spokojnie przemilczać działalność zdrajców. Nazwisko Jana Emila Skińskiego pojawiło się na łamach naszej prasy raz jeden... w liście gończym, rozesyłanym przez prokuratora. Jest rzeczą zdumiewającą, że Związek Zawodowy Literatów Polskich w sprawie Skińskiego i Wasylewskiego nie zabrał głosu. I niech nikt nie mówi, że sprawa jest bez znaczenia, ponieważ kolaborantów — w przeciwnieństwie do Francji — było zaledwie u nas czterech czy pięciu. Milczało się, bo było wygodniej i bezpieczniej milczeć. Zjazd pisarzy to milczenie przerwał.

Również milczy się o działalności pisarzy polskich na emigracji zachodniej. A przecież w imię prawdy trzeba przypomnieć uchał pisarzy i dziennikarzy londyńskich, podaną u nas przez „Biuletyn Informacyjny”, która wykluczała z przyszłego Związku Zawodowego Literatów Polskich i Związku Dziennikarzy wszystkich tych, którzy opowiedzieli się za polityką współpracy ze Związkiem Radzieckim. Przeciwno uchwałę tej, według informacji „Biuletynu”, głosił jeden polski pisarz. Był nim Ksawery Pruszyński.

Sądę, że czas jest przestać milczeć. Sądę, że czas jest, aby w publicznej dyskusji omówić rolę, jaką odegrali pisarze polscy na emigracji. Nie chcę być stronnym. Niech przemówi za mnie Ksawery Pruszyński z łam pisma emigranckiego, które od lat czterech wychodzi w Londynie.

W czerwcowym zeszycie „Nowej Polski”, w artykule „Oni i Wy” porównywa Pruszyński dwie polskie emigracje, z roku 1831 i roku

1939. Piśze: „Tamta emigracja nie miała antysemitów, nie miała zwolenników mocnej ręki, nie szła w świat z gadaniem, że demokracja jest skończona albo zgłnia, albo że zesła na psy, nie mówią nawet, że wszystko, co było, było dobre, ani że wszystko co polskie było najlepsze. Tamta emigracja miała pisarzy ostrych i walczących: ale przecież nie słychać o nagonkach, organizowanych na Mochnickiego czy Zaleskiego, nie słychać o cenzurze. Powstanie listopadowe wybuchło między innymi także o wolność słowa i druku: a ci, co znaleźli się wtedy na emigracji, nie poświęcili tyle, ile my czasu, aby pisarzy poddać kontroli. Tak, tak. W tamtej emigracji hrabia Worcel szedł w rzesze robotnicze. W tej możemy oglądać eksrobotniczych leaderów na pobieguszkach junty. W tamtej emigracji młodzi ludzie z Polski mówili tym samym ideowym językiem, jakim mówili młodzi ludzie Francji i Anglii, ludzie postępu: w naszej jakże często u naszych młodzieńców odnajdywano te same myśli, jakie nurtowały świat Corneliu Codreanu i Jose Antonia Primo de Rivery i belgijskiego pana Degrelle i może wielu, wielu innych. Mogli mówić lepszą angielszczyzną i może poprawniejszą francuszczyzną, niż ci sprzed wieku, ale było to tylko tym gorzej, bo tym lepiej, tym wyraziściej wychodziły dźwięki ich wewnętrzny, ideowego języka. Wszystko to było na lep naszym wrogom, wszystko to im tylko pomogło, każdy z owych narodowców, antysemitów, krytyków demokracji, zwolenników silnej ręki, wielbicieli zamordyzmu, przeciwników wolności słowa — był tylko nieświadomym może, ale na pewno walnym szkodził sprawę polską!”

Czas jest przestać milczeć o żywych i zmarłych. Czas jest sądzić żywych i zmarłych. Czas jest zacząć mówić prawdę i tylko prawdę o działalności wszystkich polskich pisarzy w ciągu sześciu lat wojny.

Jan Koti

KORESPONDENCJA

O IGNACYM FIKU

Do redaktora „Odrodzenia”

W bardzo zajmującym (skoro poruszył i mnie, laika) i bardzo potrzebnym artykule („O pozytywny program kulturalny”, „Odrodzenie”, nr 37), radzi St. Żółkiewski, zalecając aktualizować styl i myśl nowej krytyki literackiej, sięgnąć między innymi po odświeżające wzory blisko trzydziestoletniej już krytyki radzieckiej. Piśze: „Ludzi z szeroką erudycją filozoficzno-literacką prawie nie mamy”. W tym momencie poruszył autor we mnie wspomnienie o radzieckim z ostatniego 2 lat przed wojną i pierwszych lat wojny śp. Ignacego Fika. Bolesne ostrze wspomnienia zraniło znów duszę. Fika miałem sposobność poznać dość dobrze w pracy klubu demokratycznego w Katowicach, w Krakowie w czasie wojny odwiedzałem go przy ul. Kujawskiej, chcąc — wśród mętnej powodzi plotek politycznych — uzyskać jasny pogląd i osąd sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej. Dawał mi też do przeczytania własne pomyśle z czasu wojny, dotąd niestety nie wydane, oraz niewielkie objętością, ale niewątpliwie o wiele większe niż ich objętość, rzeczy społeczno-polityczne („O żywą treść demokracji”) i krytyczno-literackie (jak „Rodowód społeczny literatury polskiej”). Kilkakrotnie w czasie wojny wśród rozmów o literaturę i o nauczaniu jej oraz o szerzeniu światopoglądu demokratycznego, nowohumanistycznego, wyrażałem przekonanie, że Fika „Rodowód społeczny literatury polskiej” będzie kiedyś zapewne wydawany w wielkiej ilości jako pomocniczy podręcznik szkolny.

We wspomnianych rzeczach Fika uderza właśnie szeroka erudycja filozoficzno-literacka, socjologiczna i polityczna oraz obok logiki intelektualisty przejęcie się tematem przez artystę i człowieka, mózg i serce.

Wydaje mi się zatem, że jeśli chodzi o działającą o przemyślenie zagadnienia polskiej kultury mieszczańskiej — klasowej perspektyw tej kultury, to czemuż obok cennych wzorów radzieckich, nie wspomnieć o Fiku, o jego marksowskiemu ujmowaniu sprawy w „Rodowódzie społecznym literatury polskiej” i „Dwudziestolecium literatury polskiej”, czemuż nie poradzić tych książek jako lektury uczniom szkół średnich i wyższych oraz publiczności, która spożywała tylko historie literatury Tarnowskich, ba, Mazanowskich, w najlepszym razie Feldmana. Wydaje mi się rzeczą dziwną to przemilczanie pracy Fika przez znających go niewątpliwie, a ocalałych jego rówieśników-literatów, którzy, gdyby nie zginęli, spotykali się z nim chyba i na łamach „Odrodzenia” czy „Twórczości”; wydaje mi się to i bolesne, gdy wiadomo jak przemilczała prace te krytyka przedwojenna i jak prokurator sanacyjny szukał w nich punktu zaczepienia do oskarżenia autora o „wywrotowość”.

Sądę, że obok oddania czci pamięci pisarza, którego stratę smiem uważać za jedną z najboleśniejszych w tej wojnie dla Polski, przysługę konsumentom ogólnej wiedzy o kulturze oddałoby omówienie „Rodowodu” i innych książek Fika. Rozważania to tak jasne, że dostępne i laikom (takie właśnie, jakich życzy Stefan Żółkiewski tak twórcem, jak konsumentom). Zastępują na poprawne wydanie.

Nie chodzi mi o umieszczenie moich niezgrabnych słów i błędnych zapewne miejscami wyobrażeń czy nierozważnych twierdzeń, lecz o przypomnienie w poważnym czasopiśmie literackim pracy Ignacego Fika, niewątpliwie chyba częściowo choćby zapelniającej brak, jaki postrzegają autor artykułu „O pozytywny program kulturalny”.

Fr. Wł. Mortimer (Kraków)

W teatrach krakowskich

Kameralny. Zamierza świat robotniczy ściągać szeroko stosowanymi zniżkami. Oby się to dało rzeczywiście zrealizować. Widownia bardzo szczerpa. Można więc mieć pewne wątpliwości gospodarce co do tego, czy teatr zdoła rozporządzać naprawdę poważną ilością zniżek. Ale eksperyment wart jest, by go uważnie śledzić.

Wybór sztuki J. Iwaszkiewicza „Lato w Nohant” na pierwszy rzut oka zdaje się paradoksalny. Ustalam, że celem wszystkich podobnych imprez, jak Teatr Kameralny, jest ściągnięcie widza dotychczas zupełnie nie teatralnego, aby go po pewnym czasie przekazać teatrom normalnym. Teatr Kameralny byłby więc jakimś teatrem przedankowym, teatrem aklimatyzacji. Na te tematy wyłano do dziś wiele atramentu. Pogląd najpowszechniej przyjęty brzmi, że widza teatralnego oswaia się ze sceną albo teatrem poetyckim albo naturalistycznym. „Dziadami” albo „Panną Malczewską”, czymś nadziemskim, zlatającym wprost jak gdyby atmosfera kościoła albo też czymś bardzo ziemskim, co wchodzi jak łopata do głowy. W tym schemacie „Lato w Nohant” się nie mieści. Ma natomiast walory znakomite: siarkę, lekkość i tę muzykę, którą właściwie można by wszystko owinać, a da się przelknąć. Dla tych wartości rozumieć, że zgodził się ono przyznać kierownik literacki teatr Stanisław Dygat i mimo pewne relatywizmy u Iwaszkiewicza,

odbronnictwa i różne smaczki tylko dla wta- jemniczonych, zakwalifikować jego sztukę dla wi- dza robotniczego.

Wicowski spektakl był jednym z najładniejszych, że je oglądaliśmy w Krakowie. Zespół pełen urody, dekoracje Padlewskiego, takie właśnie powinny być, jeśli kogoś pokusi autentyzm, śliczne stroje (choć to Bogiem a prawdą wandalizm użytkować suknie bez mała autentycznej), szopenowska muzyka pod palmami świetnie zapowiadającego się pianisty J. Broszkiewicza — złożyły się na rzadko miłe wznowienie „Lata w Nohant”, które nie jest ani dobrą sztuką, ani złą, ale przede wszystkim bardzo ładną, librettem, które daje sposobność do zrobienia ślicznego spektaklu. Zrobiono go.

Z urzędu należy złożyć wyrazy uznania Leokadii Panciewiczowej. Zagrała nienaganą matronę w czer- ni. Karciła swe dzieci wspaniale. Łodziński był Chopinem, którego należy widzieć. Nie waham się ani chwili nazwać tego, co zrobił, czymś mistrzowskim. Głos ścisły i przenikliwy, chłodny, nieobecność, skupienie nad jakąś w sobie odbywającą się kryształizacją, godne podziwu. Jeden z najczystszych talentów, jakie mamy w jego pokoleniu. I znów: rewelacją wieczoru była Władysława Nawrocka jako Solange. Naturalność, swoboda, werwa, pełne powabu warunki tworzą z niej zjawisko, w tej roli, co pomiędzy oswojonym zwierzątkiem, a cudownym dzieckiem. Poza tym doskonały St. Orzechowski jako Wodziński. Reżyserko przedstawienie dobre, można mieć tylko wątpliwości, czy słusznie Nawrockiej nakazano wchodzić na kanapę, to kucać na ziemi, to kukasać się, to się rozkładać? Ze niby nie potrafi na miejscu usiedzieć! Pewien jestem, że przy talencie Nawrockiej mogłaby ona to wyrazić samą grą, bez uciekania się do tak wyrazistych efektów. Toż to aktorka całą buzią!

Tadeusz Breza

TEMAT WARSZAWSKI

Materiały do dzieł powstania warszawskiego. I. W oczach Londynu. Napisał kpt. Zygmunt Oranowski. (Łódź), „Czytelnik”, 1945; str. 42.

Publikacja materiałów źródłowych o powstaniu warszawskim nie wróży jego sprawcom nic dobrego. Już nie ministrowie wydają ocenę, lecz zaczyna przemawiać trybunał historii. Przyczynę ogłoszony przez wydawnictwo „Czytelnik”, jest bardzo skromny co do rozmiarów, lecz w treści bogaty i wymowny. Kpt. Oranowski pracował w latach 1941—44 r. w sztabie głównym dowództwa emigracyjnego w Londynie, w wydziale łączności, później zaś był dowódcą powietrznej bazy w Brindisi i dzięki temu potrafił nie tylko sam dać świadectwo sprawom, w których brał udział, lecz przytoczyć „autentyczne słowa dowódców lub dane liczbowe”, co prawda z pamięci, ale z intencją odzwierciedlenia wiernie treści i widoczny dążeniem do najściślejszego autentyzmu.

Konterfekt środowiska sztabowego jest aż przyskrzy. Na nie zbytku, młokko usłanych wnętrza i wygó- nadmiar oficerów wyższych stopni i szefów a brak wykonawców, dyktantyzm i niedbalstwo, chaos w urzędzeniach i organizacjach, upodobanie do impro- wizacji, niepoczynyłny romantyzm i fantastyka, nade wszystko zaś animozje, intrygi, zarzarta walka grup, koterii i osób aż po wewnętrzny sabotaż i kłowa- nia zamachu stanu. Tak więc fachowa strona długo piastowanego planu powstania w Polsce, tzw. „obro- ny terenu Polski”, grzeszyła rażącymi niedostatkami, głównie zaś atrofią poczucia rzeczywistości, skoro przewidywano potrzebę i żądano od War Office 3500 samolotów, Anglii zaś mogli przydzie- lić nie więcej niż 4 (cztery) aparaty. Brak czerwi- silnikowych maszyn, różność stref klimatycznych, mała ilość długich, księżycowych noc, ograniczenie liczby możliwych lotów, do maksymalnie 60, gdy krajowi polecono przygotować punkty odbiorcze na 400 lotów — sprawiły, że w sprawie poważnej akcji w Polsce z północnych baz lotniczych w Anglii i północnych we Włoszech, zupełnie nie miało wchodzić w grę. „Na tych realnych możliwościach operowały Air Ministry i sztab War Office, Polacy natomiast operowali tylko przyppuszczeniami i liczeniem na szczęście”. Myśli o bazach w Rosji naturalnie odrzucono.

Gdy po pomyślnym kampanii włoskiej uzyskano zgodę na utworzenie bazy we Włoszech, poszukiwa- nie lojalnego pułkownika na jej dowódcę trwało sześć miesięcy, gdy zaś w końcu mianowano nim kpt. Oranowskiego, otrzymał on instrukcję „w kil- ku zaledwie słowach, treści mniej więcej takiej, jak „mój sie i pracuj”. Praca bazy wyszkoleniowej w Bari miała rozpocząć się w listopadzie 1943 roku, lecz szkolenie zaczęło się o pół roku później, „a w praktyce zbiegło się z wybuchem powstania”.

Autor jest fachowcem, który unika frazesów, przemawia rzeczowo, wyklada argumenty i cyfry. W kolejnych rozdziałach dowodzi, że Polska nie miała możliwości szybkiego wsparcia lotniczego, powstanie w ogóle nie było zapotrzone w broń i materiały, wyszkolenie odpowiedzialnego personelu było niedostateczne, łączność nieprzygotowana, środki medyczne żadne, organizacja władz niewłaściwa. Dla ilustracji kilka tylko jaskrawych szczegółów.

W grudniu 1943 roku rezerwy własne w magazynach w Londynie wynosiły 20 pistoletów automatycznych i 50 rewolwerów. Baza we Włoszech liczyła w marcu 1944 roku zapasy broni na 5 plutonów pie- choty. Na potrzebnych około 450 wyszkolonych pie- ców sztabowych, lotnicza, łączności i instrukto- rów, dostawiono w ciągu całego 1943 roku 14 osób. Odpowiedź władz angielskich na przedstawione im zapotrzebowanie na leki brzmiała, że „nie rozumie- ją tego zapotrzebowania i nie wiedzą, czy to dla kobiet w pologu, czy dla żołnierzy” (dosłownie). Do USA złożono zamówienie na sprzęt radiowy na sumę — około 400 dolarów. „W Ameryce naturalnie nie wzięto tego poważnie, bo każdy chłopak w ga- raju musi mieć więcej sprzętu, niż wynosiło to za- potrzebowanie naszego sztabu”. Ilość sprzętu radio- wego pozostała do ostatka niedostateczna, brakło np. odbiorników typu konspiracyjnego i stacji du- żej mocy.

Systematyczność i gruntowność zastępowano budo- nadą, uczciwą, odpowiedzialną informacją kraju i o kraju fałszowanymi depeszami. Ale na wiado- mość o lokalnym powstaniu w Lubelszczyźnie w sierpniu 1943 roku generał Kukiel rozkazał się („mój Boże, przecież nie jesteśmy gotowi do po- wstania”), insurekcji warszawskiej wolałcej rozpa- czliwie o pomoc — której nie mogło być — ofiarował Kwapiński w radio „hold, a poległm część”. Na bazie włoskiej było wtedy 160 zasobników na 4000 po- trzebnych i nie było personelu do ładowania. A dla wsparcia powstania francuskiego po jednej tylko stronie angielskiej pracowało po 2400 ludzi już na dwa lata przed jego terminem.

Z niejednego miejsca książeczki przebiega żal i uraza autora, który krytykę przypłacił wymyśla- niem i przykrościami. „W maju 1944 roku więziono mnie i morzone głodem, aby wymusić cofnięcie moich zeznań i depesz, stwierdzających niedbalstwo sztabu w sprawach Polski oraz kompletny brak koniecznych przygotowań do akcji wojskowej dla wyzwolenia kraju. Płk Tyssowski powiedział mi wyraźnie, że będę wolny natychmiast, jeżeli wy- rzeknę się swego krytycznego stanowiska wobec postępowania Sztabu — jak się wyraził: „chcę oskarżania ludzi, z którymi i tak pan nie wygra”. Nawet jeżeli sporo odliczyć na karb zrozumiałego w tych warunkach subiektywizmu i jednostronności autora, rzeczowe elementy jego wspomnień zachowują cenę dokumentarną. Z tego co działa się wczoraj, opada kropała po kropoli i sączy się treść dla oceny historycznej.

Tepty upór i nierozważnie trwanie przy zasadzie „bezwzględnej walki z Rosją” były źródłem wszyst- kiego zła. Wyświetlanie prawdy o kulisaach poli- tycznych i fachowo-wojskowych bohaterstwa ofia- rny stolicy sięga daleko poza aktualny interes poli- tyczny i potrzeby propagandy dnia. Kalinka „prawda dla przestrogi!” jest znów na czasie, chociaż tyle już razy bolesnie okupiona prawda i najjaśniejsz z niej wynika przestroga poszły na marne.

Józef Sieradzki